



DYSKUSJA REDAKCYJNA

Historia dyplomacji polskiej?

Autoryzowana transkrypcja dyskusji redakcyjnej
o książce *Historia dyplomacji polskiej X-XX w.*,

pod red. G. Labudy i W. Michowicza

(Wydawnictwo Sejmowe 2003, 758 stron, 120 fotografii)

„Polski Przegląd Dyplomatyczny” 27 maja 2003 r.

oraz odpowiedzi redaktorów i autorów

W dyskusji uczestniczą: dr hab. **Włodzimierz Borodziej** (wiceprzewodniczący Komitetu Redakcyjnego i zarazem redaktor naczelny serii wydawniczej PISM – „Polskie Dokumenty Dyplomatyczne”, profesor Uniwersytetu Warszawskiego), dr **Sławomir Dębski** (kierownik Biura Analiz PISM), **Joanna Chodor** (analityk PISM), **Andrzej Magierski** (dyrektor Wydawnictwa Sejmowego), dr hab. **Wojciech Rojek** (profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego), dr **Krzysztof Ruchniewicz** (dyrektor Centrum im. Willy Brandta, Uniwersytet Wrocławski), prof. dr hab. **Henryk Samsonowicz** (przewodniczący Wydziału Nauk Społecznych PAN), dr **Ryszard Skowron** (Uniwersytet Śląski), dr hab. **Stanisław Szczur** (profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego), dr hab. **Ryszard Stemplowski** (redaktor naczelny „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego”, dyrektor PISM, profesor Szkoły Głównej Handlowej), dr **Tadeusz Szumowski** (wicedyrektor Archiwum MSZ), prof. dr hab. **Jerzy Tomaszewski** (Uniwersytet Warszawski).

R. Stemplowski: Bardzo Państwu dziękuję za przyjęcie zaproszenia. Chciałbym przedstawić moich współpracowników–historyków: profesora Włodzimierza Borodzieja, Joannę Chodor i doktora Sławomira Dębskiego. Przedstawiam też sekretarzy Redakcji i zarazem analityków w Biurze Analiz PISM – Katarzynę Sochacką i Rafała Tarnogórskiego. Zapraszałem redaktorów książki stanowiącej dziś przedmiot naszej dyskusji, lecz jak wiemy, ani profesor Gerard Labuda, ani profesor Waldemar Michowicz nie mogą w niej uczestniczyć z powodów niezwiązanych z naszą dyskusją. Uzgodniliśmy jednak, że Redakcja prześle im tekst przed publikacją, żeby mogli ewentualnie ustosunkować się do niego. Ten sam tekst prześlemy wszystkim licznym współautorom tomu, zapraszając do zabrania głosu na naszych łamach. Dyskusję niniejszą organizujemy z dwóch powodów. Po pierwsze, książka jest pracą pionierską, a w historiografii światowej – bardzo rzadką, wobec tego ustosunkowanie się do niej jest szczególnym obowiązkiem Instytutu. Po drugie, Instytut przystąpił do wydawania serii „Polskie Dokumenty Dyplomatyczne” i tego rodzaju książka jest dla edytorów takich źródeł naturalnym punktem odniesienia.

J. Tomaszewski: Czytałem książkę z dużym zainteresowaniem. Niektóre fragmenty raczej przeglądałem (nie znam się na całym tysiącu lat), część czytałem jako zaciekawiony problematyką czytelnik. Zacznę od uwag generalnych. Po pierwsze, zamieszczenie tysiąclecia w jednym tomie jest przedsięwzięciem imponującym. Po drugie, uwzględnienie rozległego kręgu zagadnień włącznie ze sprawami organizacyjnymi i ceremonialnymi jest bardzo pożyteczne dla czytelnika, choćby tylko dla poinformowania go o tych aspektach dyplomacji, mało na ogół znanych. Niestety, nieraz – zwłaszcza tam, gdzie mowa o XX wieku – zagadnienia formy i techniki dyplomacji zdają się przytłaczać treść działalności polskich dyplomatów. Nie lekceważę starszych dziejów, lecz pewne dysproporcje widzę w potraktowaniu starszych epok

historycznych. Jak wynika z książki, w XVI lub XVII wieku Polska wysyłała za granicę niekiedy jedno lub dwa poselstwa rocznie, a kontakty były ograniczone choćby przyczynami technicznymi, odległością na przykład między Warszawą a Paryżem i czasem niezbędnym dla podróży konno. W XIX wieku tempo znacznie się zwiększa, jeszcze bardziej w okresie międzywojennym, jest także telefon i telegraf, a skutki tego widać w dokumentacji dyplomatycznej. Tempo wydarzeń staje się coraz szybsze, a w rezultacie zachowanie podobnych proporcji wykładu dla różnych okresów historii odbija się niekorzystnie na wykładzie o dyplomacji XX stulecia, zwłaszcza lat międzywojennych i czasu II wojny światowej. Doceniam te trudności i starania autorów, by w ograniczonej objętości zmieścić bogatą problematykę, skomplikowaną przez wydarzenia niezależne od Polski. Natomiast uderzają mnie, zwłaszcza dla XX wieku, bezkrytyczne oceny polskich dyplomatów i polityków. Niemal wszyscy są dobrzy, jeśli nie bardzo dobrzy, choć w rzeczywistości rozmaicie bywało.

H. Samsonowicz: Kompleks wachmistrza z Piska.

J. Tomaszewski: Być może. Kolejna sprawa ogólna to bibliografia na końcu książki i źródła. Jest ona bardzo pożyteczna. Oczywiście można dyskutować w nieskończoność, co należało uwzględnić, co można usunąć, lecz dotkliwie brakuje wskazania edycji źródeł, zaczynając od „Zbioru Dokumentów”, który ma dawną tradycję, kończąc na ważniejszych zbiorach źródeł, a nawet pojedynczych, najważniejszych dokumentach zamieszczanych na przykład w „Tekach Archiwalnych” i innych czasopismach. Nie było tego wiele, ale ułatwiłoby orientację choćby studentom, a zwłaszcza potencjalnym czytelnikom zagranicznym. Brak także nieco szerszego przedstawienia losów polskich archiwów dyplomatycznych podczas II wojny światowej i po niej, rozproszonych po świecie, nieraz nieodnalezionych, choć przecież

nie należy tracić nadziei, że nie uległy zniszczeniu i uda się je odnaleźć.

Kwestie bardziej szczegółowe chciałbym rozpocząć od końca. Okresem po II wojnie światowej mało się zajmowałem, niemal wyłącznie pięcioleciem bezpośrednio po wojnie, lecz parę kwestii nieprzyjemnie mnie uderzyło. Po pierwsze, o „bratniej pomocy” Czechosłowacji w 1968 roku czytamy: „W latach 1970–1985 dyplomacja polska demonstrowała bez zastrzeżeń swoją całkowitą lojalność wobec Moskwy. Nie krępowała się tym, ponieważ Zachód szybko zapomniał o interwencji Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r., a rozwój odprężenia międzynarodowego czynił z Moskwy i Warszawy interesujących partnerów dialogu” (s. 585). Zaginęła więc całkowicie niechlubna rola Władysława Gomułki (reprezentującego Polskę), znana z dokumentów opublikowanych przez Andrzeja Garlickiego i Andrzeja Paczkowskiego. Nie była to wprawdzie formalnie działalność dyplomacji, lecz przecież w tym czasie przywódcy PZPR niejednokrotnie zastępowali zawodowych dyplomatów w najważniejszych rozmowach międzynarodowych. Po drugie, fala antysemityzmu w tymże roku. Czytamy bowiem jedynie: „Po dłuższych dyskusjach [...] komisja [do spraw kadrowych] przyjęła ostatecznie 3 IV 1968 r. kryteria, wedle których należało określać, kto może i kto nie może być pracownikiem służby zagranicznej. Doprecyzowanie tych kryteriów odbywało się pod naciskiem organizacji PZPR w MSZ [...]” i dalej: „[...] do kryteriów umożliwiających pracę w służbie zagranicznej zaliczono: 1) Związanie patriotyczną postawą z PRL; 2) Związanie polityczne i ideowe z żywotnymi interesami narodu; 3) Czynne zaangażowanie w procesie przemian socjalistycznych [...]”, dalej jest jeszcze mowa o kryteriach uniemożliwiających pracę w służbie zagranicznej (s. 576–577). Za tymi pięknie brzmiącymi ogólnikami kryły się często rasistowskie kryteria, zaś – jak powtarzali wtajemniczeni – o uzyskaniu „aryjskich papierów” i swoistego „świadcstwa patriotyzmu” decydował funkcjonariusz organów

bezpieczeństwa Tadeusz Walichnowski, ostatnio profesor jednej z prywatnych szkół wyższych; ma do tego formalne prawo, choć jest to przypadek skandaliczny. A te wszystkie „eufemizmy” znajdują się pod tytułem „Próby racjonalizacji polityki kadrowej (1956–1968)”. Te dwie kwestie uważam za najpoważniejsze słabości części dotyczącej okresu po 1944 roku, przesłaniające inne potknięcia oraz zalety.

Wspomnę jeszcze dość dziwne stwierdzenie: „po tzw. rewolucji lutowej w 1948 r. w Pradze, przeprowadzonej zresztą z inspiracji Stalina i przy poparciu Kominformu” (s. 554), brak wzmianki o projektach federacyjnych propagowanych przez Georgi Dymitrowa po wojnie (miały pewien wpływ na sytuację w naszej części Europy) oraz niefortunne zdanie dotyczące 1945 roku: „Czesi wzorem 1919 r. chcieli przy pomocy bojówek opanować niektóre tereny (Racibórz, Głubczyce i Kotlina Kłodzka)” (s. 553). Z bojówkami było trochę inaczej, natomiast zabrakło tego, o czym opowiadał mi kiedyś były ambasador w Pradze Stefan Wierbłowski. Otóż dokładał on starań, aby powstrzymać Michała Rolę-Żymierskiego od wydania rozkazu wojskom do marszu na Zaolzie. Z innych źródeł także sprawa ta jest znana. Zamiast tego jest zdanie: „PPR domagała się ponownego przyłączenia Śląska Zaolziańskiego do Polski”. Zresztą, nie tylko PPR wysuwała ten postulat.

Przejdźmy do okresu wojny. Mamy więc tytuł dla mnie osobliwy: „Jedyny sojusznik Wielkiej Brytanii” (s. 524). Nawet jeżeli przyjmiemy, że Francja została wyeliminowana, inne kraje okupowane (Grecja i Jugosławia dopiero w kwietniu 1941 roku, a więc po bitwie o Wielką Brytanię), to po stronie brytyjskiej, na tej samej zasadzie co formacje polskie, walczyły oddziały czechosłowackie. Zabrakło przy tym informacji o rozmowach konfederacyjnych między emigracyjnymi rządami polskim oraz czechosłowackim, a także – co zaciążyło na wzajemnych stosunkach – że polska dyplomacja wspierała Milana Hodžę przeciwko Edvardowi Benešowi.

Wreszcie kwestia, która tylko pozornie jest drobiazgiem. Czytamy bowiem o umowie między Polską a ZSRR z 30 lipca 1941 roku, że rząd polski uzyskał „zwolnienie dziesiątków tysięcy Polaków z obozów, więzień i miejsc zesłania” (s. 529). W rzeczywistości zwolnienie miało objąć wszystkich obywateli polskich, a i tak władze radzieckie postanowienie to interpretowały dość dowolnie. No i może na razie byłoby dosyć, jeszcze później się włączę.

H. Samsonowicz: Ja przeczytałem pracę z uczuciami ambiwalentnymi. Po pierwsze, z wielkim podziwem dla erudycji, wszechstronności autorów, dla wysiłku organizacyjnego i wobec stworzenia jakiejś syntezy, która na pewno jest czymś wyjątkowym, przynajmniej w naszej historiografii. Po drugie, jednak z pewnym odczuciem jakiegoś niedosytu związanego z paroma sprawami, o których tutaj powiem za chwilę. Wydaje się, że problem dyplomacji to jest kilka, wbrew pozorom nie tak jednoznacznych, zakresów badań. Organizacja służby dyplomatycznej, ludzie, kierunki polityki zagranicznej, metody działania, wreszcie uwarunkowanie tego działania, to znaczy problem kontekstu politycznego, powinny wchodzić w grę gospodarka, czego zupełnie tutaj nie ma, uwarunkowania gospodarcze. Mówię o czasach wcześniejszych, tutaj Jerzy Tomaszewski wystarczająco się przejechał po czasach najnowszych i myślę, że te uwarunkowania gospodarcze są sprawą zupełnie oczywistą. Są również sprawą oczywistą, aczkolwiek na pewno nie tak istotną jak polityka czy gospodarka, sprawy kultury. Jeśli o nie chodzi, tutaj mam nadzieję, że mój sąsiad z przeciwka będzie miał też swoje zdanie na temat spraw związanych z dyplomacją dotyczącą powołania Uniwersytetu w Krakowie, dyplomacją dotyczącą wprowadzenia pewnych form, no chociażby postanowień Soboru Laterańskiego z 1215 roku, a dotyczących między innymi organizacji szkolnictwa parafialnego. To jest też problem jakichś uwarunkowań. Czy można było w jednym tomie, w skrócie wielu tomów, wszystkie te problemy

zaznaczyć? – nie wiem, ale myślę, że można było je przynajmniej enumerować, wymienić, które wiążą się z tym tematem. Druga sprawa, przyznam się, że nie jestem pewien, czy przedstawienie dziejów polskiej dyplomacji w ciągu tysiąca lat nie powoduje, że my nie mówimy za każdym razem o tym samym. Czy dyplomacja wieku XX jest tym samym, czym była dyplomacja w czasach Bolesława Chrobrego.

S. Szczur: Kastrowań...

H. Samsonowicz: Na przykład oślepienie Bolesława Rudego, czy to jest technika działania dyplomacji?

J. Tomaszewski: Oczywiście.

H. Samsonowicz: No, ale nie ma tutaj na ten temat nic.

R. Stemplowski: Dzisiaj oślepia się nas informacją.

H. Samsonowicz: To prawda. Porwanie przez Piotra Włostowica, księcia halickiego – to technika działania dyplomatycznego. Oczywiście, że można powiedzieć, że porwanie czy aresztowanie przywódców Armii Krajowej, Okulickiego i tak dalej, też jest jakąś formą działania dyplomatycznego i można to jakoś porównywać, ale ta historia dyplomacji unika tego rodzaju brutalizmów, nie jestem pewien, czy nie pacząc w tym momencie przeszłości.

S. Dębski: O igrzyskach się nie wspominało.

H. Samsonowicz: To nie jest w najmniejszym stopniu krytyka moich dwóch, naprawdę bardzo przeze mnie

szanowanych przyjaciół i kolegów, czyli Gerarda Labudy, Mariana Biskupa, ale troszeczkę tutaj chyba zaważyła właśnie taka chęć podciągnięcia pod jeden wspólny mianownik różnych zjawisk, procesów. No właśnie nie wiem, czy zamordowanie Leszka Białego to jest nieprawne działanie dyplomacji, bo to nie my, a nas.

S. Szczur: Niesprawne, bo Henryk Brodaty uciekł.

H. Samsonowicz: No uciekł, ale był ranny... no tak, powiedzmy sobie. Nedoróbka. Natomiast właśnie to, co Chrobry zrobił z Bolesławem Rudym, to jak najbardziej prawne. Innymi słowy, tutaj są pewne jakieś takie stwierdzenia. „Dyplomacja polska dopuściła”, mam pewne opory przeciwko formule, która tutaj została sformułowana. Nie mówiąc o tym, że zdanie: „Dyplomacja polska za czasów Kazimierza Jagiellończyka mogła zapisać poważne osiągnięcia między innymi w uzyskiwaniu tronu dla synów królewskich w Czechach, a później na Węgrzech”... Jest to w pewnym sensie prawda, ale na pewno nie cała prawda i nie tylko prawda, i w ogóle to zdanie budzi sprzeciw. Żadna dyplomacja, to po prostu polityka dynastyczna naszego skądinąd zasłużonego Jagiellona niezwiązana niekiedy z procedurami, które przywykliśmy nazywać procedurami dyplomatycznymi. Wydaje mi się, jednym słowem, że tutaj są pewne wymuszone przez próbę ujednoczenia tego materiału anachronizmy. Oczywiście, że gdyby teraz model przyjęty dla wieków średnich i jeszcze początku czasów nowożytnych przerzucić na wiek XX, to profesor Tomaszewski miałby jeszcze więcej uwag, niż miał w tej chwili. Zachodzi pytanie, czy nie pokusić się w takim tomie jednolitym o jakąś próbę periodyzacji, zwracając uwagę na to, że dyplomacja przynajmniej w czterech, trzech okresach oznaczała, czy stanowiła, pewne pole znaczeniowe nieco odmiennych treści. Wydaje mi się, że to ułatwiłoby percepcję. Przyznam się

szczerze, że czytając pierwsze i średniowieczne, i nowożytne partie, po prostu wydawało mi się, że czytam historię polityczną Polski. Dlaczego mamy to nazywać historią dyplomacji, nie jestem tutaj do końca przekonany. Nie mówiąc o tym, że na przykład jest takie powiedzenie jak „narodziny określonego zawodu”, nawet intelektualistów, podobno się kiedyś narodzili... Kiedy się narodzili dyplomaci? To, że Chrobry wykorzystywał międzynarodówkę, jaką były zgromadzenia zakonne, jaką był Kościół w ogóle, to jest zupełnie oczywiste. Czy to byli zawodowi dyplomaci? – nie, to były kontakty zupełnie innego typu, o innym charakterze niż te, które miały miejsce w czasach późniejszych. Ostatnia sprawa, którą tutaj krótko chciałem poruszyć, to jest to, o czym mówił już profesor Tomaszewski przed chwileczką – sprawa ferowania ocen. Nie, że to, co było dobre dla Polski, to jest dobre, generalnie rzecz biorąc, w sensie obiektywnym, a co jest dla nas złe, to jest niedobre. Zawsze denerwuje mnie to, że Krzyżacy „zdradziecko” zabierali Pomorze, a myśmy „słusznie” odzyskiwali Śląsk Zaolziański, czy powiedzmy sobie, „słusznie” żeśmy zajmowali Kijów parę razy.

S. Szczur: Krzyżacy byli największym nieszczęściem przecież... Proszę państwa, ja się urodziłem dwa lata po opublikowaniu pierwszego tomu *Historii PAN-owskiej*... Nie *Historii dyplomacji*. I patrząc na rozkład materiału, ja tutaj dalej widzę ducha tej *Historii* z lat pięćdziesiątych. Dziewięćdziesiąt kilka stron na połowę dziejów dyplomacji od X do XV wieku, z zastrzeżeniem, że nie wiemy, co to jest dyplomacja, a później im bliżej czasów współczesnych, tym to rośnie. Taka odwrócona piramida. I tutaj mamy to samo. I to jest jedna sprawa. W 1980 roku ukazał się pierwszy tom *Historii dyplomacji*, tej dużej, pięciotomowej. Ja wykonałem pracę domową i porównałem tekst z 1980 i średniowiecze z tego tomu. Chciałoby się powiedzieć tak: *nihil novi* albo jeszcze gorzej. To jest całkiem po prostu, jeżeli chodzi o epokę piastowską – streszczenie z ogromnymi uproszczeniami. Do 1370 roku jest

tam stan wiedzy gdzieś tak z 1960 roku. To nie jest, w moim przekonaniu, historia dyplomacji, to jest historia polityczna Polski napisana z polskiego punktu widzenia, gdzie wszystko szło dobrze, dopóki Piastowie byli nad Odrą. Jak się od tej Odry odsunęli, zaczęło się nieszczęście. Wszędzie tam, gdzie Piast kiedykolwiek panował, to jest nasze i przez całe średniowiecze robili nam krzywdę, zabierając nam piastowskie ziemie nasze. W przypadku XIV wieku, cała ta partia, proszę państwa, jest, mówię to z całą odpowiedzialnością, jednym wielkim kuriozum. To jest, mówię to z przykrością, szanuję autora, to jest streszczenie Zdzisława Kaczmarczyka, streszczenie złe. Od przynajmniej piętnastu lat wiemy, że żadnego Spytka z Melsztyna nie było w Pradze i wiemy, że jest to falsyfikat Czackiego, tu jest, inaczej patrzymy na Zakon Krzyżacki, przynajmniej mnie się tak wydawało, że inaczej, tutaj dalej „grabią” nam Pomorze. Profesor Labuda ma pretensje do Kazimierza Wielkiego, że nie odzyskał Pomorza Zachodniego i Śląska. Aż by się chciało zapytać, co na to książęta piastowscy Śląska, czy oni tak bardzo chcieli, żeby ich przyłączyć do macierzy i tak dalej, i tak dalej. Muszę powiedzieć, proszę państwa, że tu roi się od błędów merytorycznych, które recenzja wydawnicza mogłaby poprawić. Nie można mówić, że traktat kaliski był ratyfikacją układów wyszehradzkich, bo to jest nieporozumienie, po prostu to jest błąd i nie da się tego obronić. Nie można mówić, że król nie przyjął wyroku sądu arbitrażowego, bo jeżeli się tak mówi, to znaczy, że nie rozumie się, czym był sąd. Bo tam się wyrok przyjmowało przed jego ogłoszeniem i na tym polegała sama istota arbitrażu, to jest od bardzo dawna znane. Nie można wreszcie, to też jest swoiste kuriozum, sprowadzać w czternasto- czy trzynastowiecznych realiach stosunków z Papiestwem do normalnych stosunków międzypaństwowych. Ani państwo polskie, ani żadne inne nie było partnerem dyplomatycznym dla papieża. Było petentem i stosunki, jeżeli chodzi o peryferie chrześcijaństwa, z Papiestwem tutaj w całym średniowieczu były na bardzo niskim poziomie. Nie

można pisać, że świętopietrze było „pompą ssącą, wysysającą z Polski środki finansowe”, bo stanowiło ono 1,5% papieskiego dochodu, a z tego 1,5% w kraju zostawał 1% i tak dalej. To w moim przekonaniu będzie bardzo trudno poprawić, bo jest gdzieś w założeniu grzech pierworodny, to jest to, co pan profesor Samsonowicz mówił – nasze i cudze. Dla profesora Labudy największym nieszczęściem są Krzyżacy. Gdyby tych Krzyżaków nie było, to Pomorze Zachodnie byłoby przy Polsce i, owszem, Śląsk byłby przy Polsce, i w ogóle dzieje Polski by się inaczej potoczyły. No mój Boże, z perspektywy tysiąca lat, to Krzyżacy, to ile, 150 lat raptem, tak prawdę powiedziawszy. Są tutaj, proszę państwa, no nie chcę cytować, naprawdę „kwiatki”. Ja sobie tutaj popodkreślałem, prawda, niektóre rzeczy... myli się córki Kazimierza Wielkiego, każe im się wychodzić za mąż za Luksemburga, myli się projekty itd. To jest historia polityczna, są tutaj takie „kwiatki” jednostronicowe, organizacja służb dyplomatycznych. I teraz jest pytanie, czy to były służby dyplomatyczne? Innymi słowy, dochodzimy do fundamentalnego pytania – od kiedy dyplomacja? Profesor Nahlik twierdził, że od XIV wieku, od chwili pojawienia się stałych poselstw, nuncjatury najpierw, później stałych poselstw, stałych rezydentów reprezentujących interesy władców. Nie wynika wprost z pracy, co to są techniki dyplomatyczne. Tutaj dochodzimy właśnie do oślepiania, porwań i innych metod brutalnego traktowania przeciwników, to była przecież technika jedenastowieczna, norma w stosunkach międzynarodowych, nas oślepiali, myśmy oślepiali, tortury itd. Nie można też każdego przejawu piśmienności, tak bym to powiedział, traktować jako dokumentu dyplomatycznego. Na miły Bóg, dokument dla katedry bamberskiej nie jest dokumentem dyplomatycznym, itd., no tutaj można, nie ma strony, żeby tego typu rzeczy nie wychodziły. W moim przekonaniu średniowiecze się tu bardzo, ale to bardzo nie udało. Autor traktuje państwo, średniowieczne państwo polskie, ja to uważam za grzech pierworodny tej książki, w dzisiejszych granicach, takich jak

na tej mapie, w dzisiejszych granicach, i wszystko, co działo się w tych granicach od Szczecina na wschód, uważa, że to była Polska, no tylko...

W. Rojek: Do Bugu, ale musimy mieć z jednej strony świadomość nie tyle nawet ograniczeń, co wynikających ze względów politycznych nakazów, jak i o czym należy pisać, a z drugiej zwyczajną, powiedziałbym ludzką niechęć do ponownej refleksji i napisania szeregu wątków tekstu na nowo.

S. Szczur: Tak, do Bugu, że to była Polska, i włączanie książąt szczecińskich, czy książąt śląskich w XIV wieku, w historię dyplomacji polskiej, no na miły Bóg, jest lekką przesadą. Tak jak przesadą jest twierdzenie, że Kazimierz Wielki w drodze pokojowej, takie tu jest podsumowanie, „drogą pokojową, mimo zaburzeń na pograniczu polsko-ruskim zdołał pomnożyć wielokrotnie potencjał ekonomiczny państwa”. Te zaburzenia na pograniczu polsko-ruskim to jest 20 lat krwawych wojen z Litwą, to się nazywa „zaburzenia”. Jeżeli Zakon Krzyżacki spalił dwie wsie, to się nazywa „agresja na ziemie polskie”, mnie się wydaje, że tutaj sam język...

H. Samsonowicz: Więcej wojen było dobrych, które myśmy prowadzili na terenie Prus, naszych Prus.

S. Szczur: ...czy udział rycerzy kujawskich w rejsach na Litwę, to była „bratnia pomoc” dla Zakonu Krzyżackiego, technika dyplomatyczna, czy co? Generalnie, jest tutaj wprowadzenie do średniowiecza, mnie to razi, dzisiejszych standardów stosunków międzynarodowych, dzisiejszych pojęć, dzisiejszej terminologii. Można by to nawet jeszcze przełknąć, gdyby nie to, że jak mówię, że jest to streszczenie tomu z 1980 roku. Tutaj są całe partie *in extenso* wzięte, to

można pokazać, od akapitu takiego do akapitu takiego, strona taka odpowiada stronie z pierwszego tomu *Historii dyplomacji*. No, mam krytyczne uwagi do okresu piastowskiego, ja się kiedyś zajmowałem historią dyplomacji, dawno, dawno temu, nawet stworzyłem sobie na własny użytek korpus piastowskich traktatów międzypaństwowych, jak mówię, na własny użytek, i sprawdzałem, proszę państwa, jak o historii dyplomacji piszą inni, co to jest traktat międzypaństwowy w średniowieczu, w średniowiecznych realiach i muszę powiedzieć, że partia średniowieczna wyraźnie odstaje od obowiązujących dzisiaj standardów, mówię to z przykrością, ale tak jest.

J. Tomaszewski: Może bym dodał parę drobiazgów, raczej nie drobiazgów, do spraw średniowiecza. Na stronie 11 jest tytuł: „Tworzenie się systemów państw narodowych i ich rozwój (VI–X w.)”.

S. Szczur: Ja nie wiem, co to jest państwo narodowe, Panie Profesorze, w X wieku, naprawdę.

J. Tomaszewski: Ja też nie wiem.

H. Samsonowicz: Jak to Pan nie wie, to co powstawało w VI wieku...

S. Szczur: Aha, rozumiem, dziękuję za precyzyjne wyjaśnienie.

J. Tomaszewski: Strona 13, lata 973–975: „ów podbój czeski wyeliminował na dłuższy czas Polskę południową z rodzimych procesów państwowotwórczych”. Mój zmarły przyjaciel, historyk Józef Chlebowczyk, pochodził z Karwiny, byłby oburzony takim sformułowaniem, przecież Ślązacy w

tamtych czasach nie mogą być nazywani Polakami... Jest jeszcze nieco spraw szczegółowych, na które chcę zwrócić uwagę. Z uznaniem dostrzegłem, że w części dotyczącej pierwszej wojny światowej znalazł się fragment z podkreśleniem konsekwencji aktu 5 listopada dla początków polskiej służby dyplomatycznej (s. 450). W związku z tym warto nieco uzupełnić informacje o działalności Tadeusza Grabowskiego w Sofii (s. 453), którego biuro stało się faktyczną reprezentacją powstającej Polski (ku niezadowoleniu Niemiec) i w jego działaniach dostrzegam próby wspomaganie czegoś w rodzaju współpracy bułgarsko-polskiej w obronie przed Niemcami. Może z tym wiązał się też projekt powołania księcia Cyryla na tron Polski? Natomiast bardziej wstrzeźliwie oceniam działalność Romana Dmowskiego w USA we wrześniu 1918 roku (s. 456). Dokumenty przedstawione przez profesora Jerzego Lerskiego („Polin”, tom 2) świadczą, że swą niezręcznością zdołał sobie zrazić wybitnych przedstawicieli amerykańskich organizacji żydowskich i wywołać u nich obawy, czy państwo polskie zapewni faktyczną równość obywatelską mniejszościom. Umacniały to konflikty między działaczami KNP we Francji na tle niechętnego odnoszenia się niektórych z nich do Żydów pochodzących z powstającej Polski; brak o tym nawet wzmianki (s. 459). Niezbyt fortunne jest również przedstawienie początku zatargu z Czechosłowacją (nie z Czechami! To błąd faktograficzny!) o Śląsk Cieszyński (s. 464). Czytelnik nie dowie się bowiem, że Czechosłowacja (w odróżnieniu od Polski) nie zaakceptowała umowy granicznej zawartej przez lokalne organy obu stron. W tych okolicznościach objęcie spornego obszaru wyborami do Sejmu oznaczało polską próbę stworzenia faktu dokonanego. Dopiero wówczas zapadła w Pradze decyzja o ataku oddziałów czechosłowackich. Nie roztrząsam tu racji merytorycznych obu stron w tym sporze, uważam natomiast, że sumienność nakazuje podać wszystkie najważniejsze fakty, by czytelnik rozumiał złożoność sporu. Wykład istoty porozumień lokarneńskich jest zwięzły i rzeczowy (s. 482–483),

lecz – na podstawie doświadczeń z egzaminów – sądzę, że warto dodać niemiecką interpretację układów: ponieważ granica z Polską jest sporna, to – na mocy traktatu arbitrażowego – można ją poddać procedurze arbitrażowej. Nie wydaje mi się trafne stwierdzenie, że przed objęciem władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera w Auswärtiges Amt „dominowało nastawienie tradycyjne: nie chciano tam początkowo nawet myśleć o odprężeniu z Polską” (s. 490–491). Peter Krüger (i nie tylko on) zwraca uwagę, że już przed 1933 rokiem w tym ministerstwie rodziły się poglądy, że względy taktyczne przemawiają za modyfikacją polityki (*Gleichgewicht – Revision – Restauration. Die Außenpolitik der ersten Tschechoslowakischen Republik im Europasystem der Pariser Vorortverträge*, München 1976).

R. Skowron: Niełatwo mi będzie ocenić cały okres, moje uwagi będą dotyczyły XVI i XVII wieku. Nawiążę do wypowiedzi moich poprzedników. Moje odczucia są podobne jak pana profesora Szczura. Dokonałem bowiem również porównania drugiego tomu *Historii dyplomacji polskiej* z odpowiadającą jej częścią w dyskutowanym wydawnictwie. Jest to streszczenie, które w wielu fragmentach wypada zdecydowanie źle, dlaczego? – o tym dalej.

Na wstępie chciałbym nawiązać do wątku, który poruszył pan profesor Tomaszewski, to jest do bibliografii. Zacznę jednak od pytania podstawowego – kto ma być odbiorcą tej pracy? Mogą to być studenci różnych kierunków (historii, politologii, stosunków międzynarodowych) i co oni dostają? Dostają to, o czym mówili moi poprzednicy – streszczenie dziejów politycznych i pewne, ledwo zarysowane, problemy dyplomatyczne i stosunków międzynarodowych. Bibliografia na dodatek nie umożliwia pogłębienia wiedzy na określony temat. Wydawca robi zastrzeżenie, że jest to bibliografia selektywna. Pomimo że jest selektywna, powinna mieć jakieś kryteria. Ta bibliografia nie ma żadnych, żadnych kryteriów. Oto kilka przykładów – wymienia się trzy czy cztery pozycje

Konopczyńskiego, mówię o klasyce, ale nie ma ani jednej pozycji Szelańskiego, którego dzieła dotyczące pierwszej połowy XVII wieku do dzisiaj są opracowaniami podstawowymi. Wymienia się Czaplińskiego *Historię Danii*, a nie wymienia się ważnej dla stosunków z tym krajem pracy *Polska a Dania w XVI–XX wieku*, brak również innej ważnej książki Czaplińskiego *Władysław IV wobec wojny trzydziestoletniej*. To klasyka, do której można zaliczyć również pracę księdza profesora Damiana Wojtyski *Papiestwo a Polska 1548–1563*, ma ona w podtytule *Dyplomacja*. Mówiąc o pracy Wojtyski, zwracam uwagę, że dla czasów nowożytnych w omawianym wydawnictwie relacje ze Stolicą Świętą, jako osobne i specyficzne zagadnienie, praktycznie zostały pominięte.

Bardzo duży postęp w badaniach nad relacjami polsko-pruskimi, jaki w tej chwili następuje, czy polsko-brandenburskimi, nie znajduje odzwierciedlenia tak w części zasadniczej, jak i bibliografii. Nie wymienia się prac profesora Janusza Małka, nie wymienia się prac Mincerów czy Szymaniaka, to po prostu są niedopuszczalne rzeczy. I zupełny brak prac najnowszych, które są ważne, nie ma przykładowo pracy Polaka *O Kreml i Smoleńszczyznę*, nie ma książki Jacka Wijaczki *Stosunki dyplomatyczne Polski z Rzeszą Niemiecką*, również wspomnę o mojej pracy, *Polscy dyplomaci w Hiszpanii w XVI i XVII wieku*. A więc ta literatura, tak jak tu mówił pan profesor Szczur, zatrzymała się gdzieś na latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, a w związku z tym tezy, jakie się stawia, są zupełnie nieaktualne.

Mówiłem dużo o literaturze, ale co do badań dziejów nowożytnych jest jeszcze jeden ważny problem. Historycy polscy praktycznie nie wykorzystują, zajmując się dziejami dyplomacji czy stosunków międzynarodowych w epoce wczesnonowożytnej, opracowań, które wyszły w ostatnich trzydziestu latach na Zachodzie, pomimo że już od przynajmniej 14 lat dostęp do nich jest o wiele, o wiele łatwiejszy. Klasycznym przykładem w *Historii dyplomacji* jest fragment poświęcony sytuacji międzynarodowej w pierwszej połowie

XVI wieku. Ilość prac, jaka ukazała się w ostatnim czasie, między innymi w związku z pięćsetną rocznicą urodzin Karola V, jest olbrzymia. Niesie to za sobą nowe spojrzenie, nowe tezy dotyczące polityki i imperium Karola V. Wydaje mi się, że powinno to znaleźć odbicie w tego typu syntezie, przykładowo wymienię tu prace Alfreda Kohlera czy Ernesta Belenguera i plejady badaczy z całej Europy – z Austrii, z Hiszpanii, z Włoch, z Niemiec.

Jest jeszcze jeden ważny wątek związany z literaturą. Nie jest dobrze, jeśli w opracowaniu, o którym dyskutujemy, nie ma nie tylko literatury zagranicznej, ale również nieobecne są problemy z zakresu polskiej dyplomacji i stosunków międzynarodowych, o których piszą najwybitniejsi historycy czasów nowożytnych, zajmujący się ówczesną polityką europejską, tacy jak John Elliot, czy Geoffrey Parker. Dobrym przykładem może być problematyka polityki bałtyckiej Habsburgów w okresie wojny trzydziestoletniej. Jest to bowiem jeden z nielicznych wątków polskich, który przewija się w literaturze zachodnioeuropejskiej. Rozumiem, że prace w języku hiszpańskim mogą być pewną barierą, ale liczne są opracowania angielskie, niemieckie czy czeskie, na przykład Eberharda Poliśenskiego.

Teraz kilka spraw związanych z koncepcją książki. Generalnie widzę tutaj jeden najważniejszy problem. Wydaje mi się, że wydawca powinien opracować taką koncepcję, która zasadniczo odróżniałaby ją od wielotomowej *Historii dyplomacji*, co zapobiegłoby wrażeniu streszczenia. Moim zdaniem, taką szansą było napisanie dziejów dyplomacji polskiej z punktu widzenia stosunków międzynarodowych. Chodziłoby przede wszystkim o przedstawienie roli Polski i jej dyplomacji w wielkich konfliktach epoki nowożytnej, na przykład powstanie w Niderlandach, w zmaganiach Europy z Turcją, w szeroko rozumianej tematyce bałtyckiej, w wojnie trzydziestoletniej. Szczególnie ważne jest określenie roli Polski w polityce zagranicznej Habsburgów tak wiedeńskich, jak i madryckich, i odwrotnie, ukazanie, jak Habsburgowie

funkcjonowali w polityce polskiej. Przykłady można mnożyć. To, co jeszcze warto podkreślić, a na co zwrócił uwagę pan profesor Samsonowicz i co szczególnie widoczne jest w związkach z Niderlandami i polityką bałtycką, to kwestie ekonomiczne jako przedmiot działań dyplomatycznych. Tej problematyki praktycznie się nie dostrzega. To, co wydawałoby się, jest jedną z kluczowych rzeczy, tak nie do końca poznanych. Powiązanie problematyki politycznej i ekonomicznej znakomicie pokazują relacje polsko-hiszpańskie z lat 1623–1632. Badania, jakie prowadziłem w archiwach hiszpańskich, przyniosły wiele nieznanych wcześniej materiałów i w zupełnie innym świetle ukazują rolę Polski w tej fazie wojny trzydziestoletniej. Rola ta jest znacznie ważniejsza niż przypisywana jej dotąd w polskiej historiografii przez to, że Rzeczpospolita zajmuje kluczową pozycję w planach politycznych Hiszpanii dotyczących Europy Północnej. Dyplomacja polska, a może ściślej wazowska, odegrała znaczną rolę w wykrystalizowaniu się wielkiego planu bałtyckiego księcia Olivaresa.

Następnym ważnym wątkiem, który jest pominięty, a dotyczy techniki działań dyplomatycznych, są działania propagandowe dyplomacji polskiej w epoce nowożytnej. Znakomicie zorganizowana machina propagandowa Batorego w czasie wojen z Moskwą. Podobnie również działał Zygmunt III, który w oparciu o służby dyplomatyczne świetnie wykorzystał zwycięstwo pod Chocimiem. Królewicz Władysław na dworach europejskich stał się znaną i szanowaną osobą. Nie znajdziemy jednak w omawianej pracy informacji, że Adam Mąkowski wydał najpierw po włosku w Neapolu, a następnie w Madrycie po hiszpańsku relacje dotyczące przebiegu konfliktu polsko-tureckiego w latach 1620–1621. Szczególnie dobrze widać te działania propagandowe w Rzymie. Ważne zagadnienie, o którym wspominał pan profesor Samsonowicz, to kultura. Dyplomaci odgrywali bardzo konkretną rolę jako „przekaźnicy” dóbr i wartości kulturalnych w obie strony i tutaj tego wątku też dla okresu nowożytnego

nie znajdziemy. O wiele bardziej skomplikowana jest, niż w pracy przedstawiono dla XVI i XVII wieku, sprawa rang dyplomatycznych. To znowu wymagałoby bardzo szczegółowych uwag, a myślę, że tutaj nie o to chodzi.

Z generalnych zagadnień związanych z działalnością i organizacją dyplomacji polskiej szczególnie ważny jest problem, który pan profesor Wójcik sygnalizuje, wyraźnego rozróżnienia i rozdzielenia polityki Rzeczypospolitej od tejże polityki króla. Dla zrozumienia miejsca i roli Polski na arenie międzynarodowej istotne są uwarunkowania wewnętrzne, ustrojowe. Niezbędne jest znacznie głębsze poznanie zakresu i znaczenia polityki zagranicznej i problematyki międzynarodowej w działalności Sejmu i Senatu. W monografiach poszczególnych sejmów zagadnienia te są poruszane, ale brak jest szerszego spojrzenia obejmującego okres kilku czy kilkunastu lat.

W części poświęconej dyplomacji w latach 1572–1648 mamy wyodrębnione dwa podrozdziały, które omawiają okres pierwszego i trzeciego bezkrólewia i zajmuje to dwie i pół strony. Dyplomację Batorego przedstawiono jedynie na trzech i pół stronach. Proporcje wydają się niewłaściwe. To, co jednak jest istotne, to ujęcie okresu bezkrólewia. Nie przedstawiono go jako ważnego zagadnienia politycznego i dyplomatycznego o zasięgu ogólnoeuropejskim oraz prawie całkowicie pominięto działalność obcych poselstw w Rzeczypospolitej w tym okresie. Z tym związana jest uwaga ogólna. Dla całego okresu XVI i XVII wieku pominięto problem pobytu obcych dyplomatów w naszym kraju. Dopiero w części napisanej przez pana profesora Gierowskiego mamy wyodrębniony podrozdział poświęcony pobytowi dyplomatów obcych na terenie Polski. A przecież to ważny zakres z dziejów polskiej dyplomacji. Z omawianego wydawnictwa nie dowiemy się, skąd i ilu obcych dyplomatów przebywało w Polsce, w jakim celu, kto się nimi zajmował na dworze itd. Ta luka w zasadniczy sposób wpływa na to, o czym już wspominałem, omawiając koncepcję pracy, brak powiązania

działań dyplomacji polskiej z ogólnoeuropejską grą polityczną związaną z najważniejszymi konfliktami w polityce XVI i XVII wieku, które realizowały i planowały Szwecja, Francja, Hiszpania czy Austria.

Na koniec chciałbym też jeszcze wspomnieć o Hiszpanii dlatego, że to jest dość ważny problem. Jeśli się czyta to, co w polskiej historiografii pisze się na temat tego kraju w XVI i XVII wieku, to ta Hiszpania wydaje się być gdzieś bardzo, bardzo odległa. A przecież to kraj, który jest stosunkowo blisko Polski, Hiszpanie są w Księstwie Mediolanu, są w Niderlandach i w Królestwie Neapolitańskim. Nie można zapominać, że Hiszpania jest jednak pierwszym mocarstwem w XVI wieku i w pierwszej połowie XVII. Trzeba uwzględnić to zdecydowanie bardziej w opracowaniach. Znakomicie to widać w podrozdziałach poświęconych wojnie trzydziestoletniej. Oceniam je bardzo źle. Jest to streszczenie i to złe streszczenie wielotomowej *Historii dyplomacji*. Nie mamy kluczowych problemów dotyczących tego wielkiego, przełomowego w dziejach Europy, konfliktu. Dla przykładu, nie wspomina się o powstaniu czeskim. Również nieco inaczej widzę problem...

H. Samsonowicz: Przepraszam, czy lisowczycy to była działalność dyplomatyczna...

R. Skowron: Trzeba by było na ten temat podyskutować. Ale oni pojechali na zasadzie rozmów dyplomatycznych, była zgoda króla...

H. Samsonowicz: Ale działali dyplomatycznie...

R. Skowron: Ależ oczywiście, oni nie mogli wyjechać z Rzeczypospolitej bez zgody króla i wcześniejszych negocjacji dyplomatycznych między Warszawą a Wiedniem.

Następnym ważnym zagadnieniem, odnośnie do którego nie mam wyrobionego zdania, bo zajmuję się przede wszystkim Europą Zachodnią, to – czy rokowania strony polskiej z Kozakami w okresie powstania na Ukrainie w 1648–1654 można nazwać działaniami dyplomatycznymi w sensie międzynarodowym? Jest to jednak problem polski, Ukraina stanowiła część Polski. Kolejnym przykładem potrzeby szerszego spojrzenia, przez pryzmat międzynarodowy, na dzieje polskiej dyplomacji jest okres panowania Jana III Sobieskiego. Szczególnie potrzebne wydaje się takie ujęcie, które zwiąże politykę polską i jej działania dyplomatyczne z ogólnoeuropejską polityką Ludwika XIV. Tu wyraźnie tego brakuje i powiela się tradycyjne ujęcie.

W. Borodziej: [do Andrzeja Magierskiego] Andrzej, myśmy się nie umawiali – ale zacząć muszę od wrażenia, które dominowało w dotychczasowej dyskusji: od zdziwienia, że w roku 2003 tak można pisać o historii Polski i wydrukować to w szanowanej oficynie jako – w domyśle – podsumowanie aktualnego stanu badań. Mówię o części poświęconej okresowi po 1945 roku, o której wspominał już profesor Tomaszewski. Jest to rozdział, który wykazuje pewne cechy wspólne z tym, o czym państwo mówią, ale też się trochę różni. Redaktorzy tomu we wstępie piszą, że ta część napisana przez autora nowego w tym gronie, który nie uczestniczył w piątym tomie *Historii dyplomacji*, część, która niejako wyprzedza badania i jest pewnego rodzaju propozycją autorską; w zasadzie należałoby pochylić czoła przed odwagą autora, gdyby nie to, że osiągnął wynik bardziej zdumiewający niż imponujący. Mówili panowie już o tym, że dyplomacja dyplomacji nierówna, czym innym jest w średniowieczu, czym innym w wieku XX. W części powojennej brakuje przede wszystkim rzeczy podstawowej: mianowicie że dyplomacja państwa realnego socjalizmu, najbardziej ewidentnie w okresie klasycznego stalinizmu do połowy lat pięćdziesiątych, nazywa się dyplomacją, a przecież chodzi o

coś zupełnie innego. Mamy – często nawet ten sam, co przed wojną – gmach, ale on się różni nie tylko i nie przede wszystkim tabliczką (ambasada PRL zamiast RP), lecz tym, że ambasada spełnia zupełnie inną funkcję, ona jest rodzajem twierdzy w stanie długotrwałego oblężenia, przyczółkiem w krainie obcej, czyli z założenia wrogiej. To odnosi się nawet do placówek w krajach socjalistycznych, gdzie miejscowa policja polityczna też czyni wiele, by „obcy” nie mieli kontaktu z obywatelami kraju urzędowania, a placówka w państwie kapitalistycznym z założenia ma służyć nie rozwojowi stosunków z danym krajem, lecz utwierdzeniu się w przekonaniu, że wrogość ma charakter strukturalny i trwały. Taka funkcja określała treść instrukcji i język sprawozdawczości, deformowała obraz zewnętrznego świata do granic niepoznawalności. Funkcja placówki jako wyspy w morzu wrogości kształtowała także codzienność „służby dyplomatycznej”. Przypomnę w tym miejscu pracę magisterską powstałą na seminarium Marcina Kuli o stosunkach polsko-francuskich właśnie w dziesięciolecie po II wojnie światowej, która oczywiście pokazuje, że nie było żadnej substancji politycznej tych stosunków, bo nie mogło jej być do 1955 roku; cytowane są rozliczne pisma ambasady w Paryżu, w których chodzi w gruncie rzeczy o dwie rzeczy: żeby przysłać trochę innych ludzi, to znaczy, żeby oni mówili poprawnie w jakimkolwiek języku, na przykład po polsku, o francuskim mówi się już tylko jako o przedmiocie wygórowanych marzeń szefów placówki. No i żeby te bagaże, z którymi przyjeżdżają, to były walizki, a nie pudła drewniane przewiązane sznurkiem, bo to jednak źle wygląda. Dalej: regulacje wewnątrzambasadzkie z wczesnych lat pięćdziesiątych, dotyczące na przykład sytuacji, kiedy pracownik zachoruje: on nie może iść do dentysty sam, tylko musi być ich trzech, co oczywiście rozkłada pracę ambasady.

Innymi słowy, dyplomacja PRL w okresie klasycznego stalinizmu jest po prostu czymś innym niż przedtem i z tego trzeba sobie zdawać sprawę, ale nie jest to przecież wiedza

utajona – archiwaliów zachowało się tony, a skądinąd wystarczyłaby nawet uważna lektura wspomnień Józefa Winiewicza z okresu, kiedy był ambasadorem w Waszyngtonie, by zrozumieć skalę i rangę tej odmienności.

Następnie wątek, na który zwrócił uwagę profesor Tomaszewski: przerost spraw organizacyjnych nad merytorycznymi, ja bym powiedział więcej: niewiarygodność obrazu struktur. Dowiadujemy się na przykład – z całym szacunkiem dla Archiwum MSZ, jest to bardzo ważna instytucja – jaką Archiwum miało strukturę, kiedy powstało i tak dalej, ale w opisie organizacji i funkcjonowania MSZ-etu, nie ma nic o Biurze Politycznym KC PZPR, o Sekretariacie Organizacyjnym, o Wydziale Zagranicznym, one się pojawiają dużo później, bo w końcu nie sposób ich ominąć. Natomiast instytucjonalny kontekst polskiej dyplomacji jako problem badawczy (mówiąc inaczej: dominacja partii nad państwem) pozostaje niezauważony – czy dlatego, że autor stara się stworzyć wrażenie normalności? Jako problem następny podniósłbym polonocentryzm, o którym panowie już mówili. W ostatniej części jest on również obecny – w tym sensie, na jaki zwrócił uwagę pan profesor Skowron, czyli zupełnie brakuje takich pytań, jak centrum i peryferia, Polska w stosunkach międzynarodowych, Polska jako problem polityki europejskiej i światowej, Polska jako część drugiego świata i układu stosunków z Moskwą. To są w ogóle pytania, które w horyzoncie autora najwyraźniej się nie mieszczą, a jednocześnie nakłada się na nie inny problem, który autor – pozornie – rozwiązuje na samym początku, używając, powiedziałbym, niezwykle dosadnych wyrażenia dla określania polskich komunistów. Gdybyśmy to porównali z pracami pisanymi przed rokiem 1980, mogłoby powstać takie oto wrażenie, że wobec tych samych osób używa się dokładnie odwrotnych przymiotników i wtedy wszystko jest – ma być? – w porządku.

Ten system nie działa między innymi dlatego, że narracja – takie przynajmniej miałem wrażenie – niejako usamodzielnia

się; autor mimo woli, pisząc już o konkretnych działaniach (o zaniechaniach milczy), przyjmuje język źródeł i wraca, powiedziałbym, bezwiednie do pozytywnej oceny tych działań, co może nawet nie dziwi, lecz stoi w rażącej sprzeczności z aparatem przymiotnikowym. Innymi słowy, jest to polonocentryzm zawarty w formule bardziej skomplikowanej, bo komuniści teoretycznie są źli, ale jednak w końcu zaliczeni zostają do kręgu „my”, a nie „oni”.

Nie będę tu mówił o błędach, jest ich dużo, ale nie o to tutaj chodzi. Profesor Tomaszewski mówił już o roku 1968, dodałbym całe lata osiemdziesiąte, których ja po prostu w tym opisie nie rozpoznaję. Przede wszystkim chodzi o selekcję materiału i wynikające stąd przemilczenia. Autor nic nie pisze o sprawach elementarnych i w konkluzji powiedziałbym troszkę tak, jak pan profesor Skowron, że my się nie dowiadujemy z tej części książki, na czym polegał ten podstawowy problem polskiej polityki zagranicznej (w tym wypadku: jak zmieniały się pola manewru wobec Moskwy 1945–1989).

Co gorsza, również w stosunku do Zachodu dowiadujemy się żałośnie mało. Zimna wojna – nazwisko Kennana nie pada ani razu, zacząłem sprawdzać, nazwisko Brzezińskiego nie pada, nazwisko Nixona nie pada, o stosunkach polsko-amerykańskich w tej części książki nie ma praktycznie nic.

S. Dębski: Zdjęcie jest.

W. Borodziej: Za to brak dwóch jego wizyt w Warszawie. No i, niestety, dość podobnie ma się rzecz ze stosunkami polsko-francuskimi i polsko-brytyjskimi, gdzie znajdujemy po kilka zdań, ale nie w okresach, w których one miały jakąś materię – czy wokół planu Rapackiego, czy w okresie „Solidarności” i stanu wojennego, po prostu nic. A nie jest przecież tak, że nic na te tematy nie zostało jeszcze napisane; nie mówiąc o zagranicznych publikacjach źródłowych i o archiwaliach dostępnych w Warszawie.

K. Ruchniewicz: Chciałbym uzupełnić wypowiedź pana profesora Borodzieja. Mianowicie, jeśli chodzi o te pierwsze rozdziały, dotyczące struktury funkcjonowania MSZ-etu w tych trudnych w końcu pierwszych latach, ale także i w następnych, to miałem cały czas wrażenie, gdy to czytałem, że mamy do czynienia z taką po niemiecku *Erfolgstory*, to znaczy – na początku było trudno, ale później pokonywaliśmy wszelkie problemy, aż w końcu pojawił się problem językowy, to aż skończyliśmy na 90% właśnie znajomości jednego języka wśród dyplomatów polskich wysyłanych w latach osiemdziesiątych czy pod koniec osiemdziesiątych za granicę. Czyli krótko mówiąc, pokonaliśmy naprawdę bardzo długą drogę, aż w końcu osiągnęliśmy wielki sukces. Natomiast mnie się wydaje, że tutaj zabrakło takich elementów, które znamy w końcu ze źródeł. Mianowicie, w jaki sposób pozyskiwano informacje, tego, że na przykład w przypadku stosunków polsko-niemieckich Polska Misja Wojskowa odgrywała kluczową rolę. Problem Berlina, w ogóle ta sprawa umknęła. To, że wykorzystywano niejednokrotnie służby wywiadowcze do pozyskiwania tych informacji, to w ogóle też nie istnieje. Krótko mówiąc, znowu ta dyplomacja została zawieszona albo sprowadzona może do tego, co człowiek zapamiętuje na zasadzie pewnej anegdoty, natomiast nie są to informacje w kluczowej sprawie. Kolejna rzecz, o wiele bardziej dla mnie ważna i to chyba odróżnia tę część od pozostałych, to że tak naprawdę nie wiemy, kim byli ci dyplomaci. To znaczy, że nie mamy podstawowych informacji, kim byli ci ludzie, którzy stawali na czele resortu. Ja już abstrahuję od tego, co pan profesor Borodziej też podjął, że nie ma również konfliktu, jaki istniał na przykład między Rapackim a Gomułą. Ten problem kompletnie nie istnieje, to znaczy autor nie uznał za stosowne nawet go wymienić. I dalej z takich szczegółowych rzeczy, na które warto mimo wszystko zwrócić uwagę, pojawia się wprawdzie akcja oczyszczania, ale ja na przykład nie wiem, ile tak naprawdę tych dyplomatów zostało usuniętych, jacy to byli ludzie, to znaczy, czy należeli

do przedwojennego MSZ-etu, czy byli to ci, których usuwano według powstałej siedmiopunktowej instrukcji. Krótko, brakuje tego postawienia kropki nad i, jeżeli podejmuje się jakiś problem, to się tylko sygnalizuje, natomiast nie jest to problem do końca zamknięty. Z innych rzeczy, może drobnych, ale takich, które mogą lepiej ocenić, to są stosunki polsko-niemieckie. Uważam, że mamy tu do czynienia jednak z kuriozum, jeżeli chodzi o stosunki polsko-enerdowskie. Autor ogranicza się do stwierdzenia, że w roku 1950 podpisaliśmy układ w Zgorzelcu i właściwie problem granicy na Odrze i Nysie przestał istnieć, to znaczy NRD odtąd zaczęła uznawać, a przecież wiadomo na podstawie dzisiejszych badań, że tak nie było w 1950 roku, tak nie było także w 1957 roku ani także pod koniec lat sześćdziesiątych. Bo przecież jak wytłumaczyć, że NRD proponuje w 1969 roku podpisanie umowy polsko-enerdowskiej w sprawie granicy na Odrze i Nysie, ale nie polsko-niemieckiej, jak to było w układzie zgorzeleckim, tylko polsko-enerdowskiej na 10 lat. Gomułka wtedy po prostu dostaje szału. Zwracam uwagę na literaturę, bo wydaje mi się, że niektóre tytuły w przypadku tej części najnowszej służą jako alibi, to znaczy jest wprawdzie praca Bingena, jest praca Tomali, gdzie chociażby o tej kwestii, o której wspomniałem ostatnio, jest mowa, ale autor tego w ogóle nie wykorzystuje, czyli po prostu mam wrażenie, że autor wpisał tytuły, bo tak wypadało, natomiast nie ma żadnego odzwierciedlenia tego w tekście. Takich może drobnych przykładów i tego rodzaju potknięć można byłoby pewnie znaleźć więcej. Zdaję sobie sprawę, że jest to faktycznie praca pionierska, bo przecież nie mamy szóstego tomu *Polskiej dyplomacji* i każdy, kto zajmuje się dyplomacją powojenną, oczekiwałby też po prostu jakichś wskazówek dla swojej dalszej pracy.

W. Rojek: Proszę państwa, ja nie będę tutaj – zgodnie z zasadami dysput prowadzonych w średniowieczu – streszczał wpierw wypowiedzi moich przedmówców, a następnie

prezentował własnych poglądów, aczkolwiek nawiąże do wielu wcześniejszych wystąpień. Odnoszę ogólne wrażenie, że autorzy omawianego tomu, pracując nad tekstem, nie przywołali na pamięć znanego aforyzmu Pascala: „przepraszam, że napisałem długi list, bo nie miałem czasu napisać krótkiego”. Otóż poszczególne prace prezentowane w interesującym nas dziele stanowią streszczenie poprzednich wypowiedzi ich autorów zamieszczonych głównie w pięciotomowej *Historii dyplomacji polskiej*, publikowanej w latach 1982–1999. Wydaje się, iż na napisanie ich nowej wersji poświęcili doprawdy niewiele czasu, ograniczając się w zasadzie do streszczenia własnych poglądów. Rodzi się wobec tego pytanie, czy najwłaściwszym pomysłem było prośenie o materiały do rzeczonoego dzieła badaczy, którzy już przed laty – w różnych okresach naszej powojennej historii, obfitującej przecież w liczne ideologiczno-polityczne meandry – wypowiadali się na piśmie w tej materii. Nawiąże w nieco innym kontekście do tego, o czym mówił pan profesor Szczur. Otóż wspominał on, że rzecz dzieje się między Odrą a Bugiem. Wszyscy doskonale wiemy, jakie ograniczenia stawiano historykom w czasach Polski Ludowej, a następnie PRL-u. O pewnych rzeczach czy procesach nie można było wówczas mówić, szereg poglądów „ulepszano” na ulicy Mysiej w Głównym Urzędzie Kontroli Publikacji i Widowisk. Były to okoliczności w znaczącej mierze niezależne od historyków. Otrzymując po latach propozycję ponownej wypowiedzi w tym samym zakresie, człowiek nie ma z reguły ani czasu, ani ochoty – niezależnie od prezentowanych wcześniej postaw – na ponowne przemyślenie własnych tekstów. Jest poniekąd rzeczą oczywistą, że autorzy, będący często ludźmi z uznanym dorobkiem naukowym, nie mogli, jak to mawiają Niemcy, korzystać z racji wieku z „przywileju późnego urodzenia”, to znaczy realia zmusiły ich, czy też skłoniły do kompromisu z systemem. Nadto wcześniejsze ich teksty zawierały, niezwiązane z wymogami politycznymi – z reguły drobne – błędy i uchybienia, których z braku czasu i woli nie

skorygowano. Tak więc w okresie powstawania tej publikacji jej autorzy bazowali na starych wystąpieniach, poddając je jedynie kondensacji, co wyjaśnia charakter produktu końcowego. Można nad tym ubolewać, zważywszy na fakt adresowania książki do szerokiego kręgu czytelników. Stąd pewne poglądy i opinie mogą przeniknąć niemalże pod strzechy. Wydaje mi się, że w tym stanie rzeczy później będzie jeszcze trudniej wyplenić je, niż gdybyśmy mieli do czynienia z weryfikacją sądów w środowisku ludzi parających się historią profesjonalnie.

Kwestią, którą także warto poruszyć, zwłaszcza gdy adresatem dzieła ma być szeroki krąg czytelników, jest problem aparatu naukowego, to znaczy wskazywania w przypisach na przywołane źródła i wykorzystaną literaturę przedmiotu. Czy warto powoływać się na pozycje traktujące o dość szczegółowych kwestiach? Czy nie można tego problemu rozwiązać tak, jak się to często robi w krajach anglosaskich, to znaczy przyjąć założenia, że dla specjalisty – obytego przecież ze źródłami i piśmiennictwem z danego zakresu – nie ma racji bytu szczegółowe ich przywoływanie, a nieprofesjonaliście to i tak niewiele da, może wyjąwszy sytuację, w której do przypisów wprowadzono by szereg wyjaśnień ułatwiających lekturę, a zarazem nie zaburzających toku narracji. Rozwiązanie zastosowane w tej książce, to znaczy zamieszczenie na końcu zestawu piśmiennictwa, wydaje się jednak zupełnie wystarczające, natomiast można by, jak sądzę, pokusić się o dodanie doń zestawu wydawnictw źródłowych.

Nawiązując do fragmentu wypowiedzi pana profesora Włodzimierza Borodzieja o tym, że w odniesieniu do Polski Ludowej nie zauważa się faktu istnienia Biura Politycznego, sądzę, że wynika to ze swoiście pojętego doktrynerstwa. Otóż mamy do czynienia z próbą spojrzenia na politykę zagraniczną przez pryzmat jedynie tych instytucji, które formalnie odpowiadały za postawę Warszawy w tej mierze. Pozwolę sobie przypomnieć w związku z tym postawę

przedwojennego ministra spraw zagranicznych RP płk. Józefa Becka, który składając wizytę w ZSRR, w lutym 1932 roku, nie uznał za stosowne złożyć wizyty faktycznemu władcy tego kraju Józefowi Stalinowi, argumentując to tym, że jest on wyłącznie sekretarzem generalnym WKP(b) i nie pełni żadnych funkcji państwowych. Czy w wypadku, o którym wspominał pan profesor Borodziej, po prostu *per analogiam* nie potraktowano faktu istnienia Biura Politycznego, czy też Wydziału Zagranicznego KC PZPR. Instytucje te istniały, acz formalnie nie miały zbyt wiele do powiedzenia. Wobec tego czy trzeba o nich w ogóle pisać? W odniesieniu do dwudziestowiecznych dziejów Polski, a zwłaszcza międzywojnia, znaleźliśmy się niewątpliwie w trudnej sytuacji. Znane angielskie powiedzenie głosi, że dżentelmeni o faktach nie dyskutują, ale my po prostu nie zdołaliśmy jeszcze w wielu wypadkach należycie zrekonstruować procesu historycznego, a więc poniekąd także nie ustaliliśmy faktów. Proces ten był w minionych dekadach poważnie zaburzony. W oficjalnych opiniach pochodzących z międzywojnia mamy na przykład do czynienia – zwłaszcza w publicystyce politycznej – ze swego rodzaju animalizacją, z czymś, co złośliwi, acz niepozbawieni znacznej dozy inteligencji ówcześni opozycjoniści określali mianem „państwo-wotwórczego machania ogonkiem”. Z kolei po II wojnie światowej spore odłamy historiografii krajowej okres ten „odsądzały od czci i wiary”, a na uchodźstwie z kolei jakże często idealizowano go. W związku z powyższym jedynie lata dziewięćdziesiąte minionego stulecia pozwalały na rzeczowe badania, a następnie dyskusję nad nimi. Stąd też zapewne zabrakło w omawianym dziele ocen generalnych, wznoszących się ponad chwilę bieżącą, ułatwiających zarazem określenie stosunku autora do takich kwestii jak chociażby zaranie II Rzeczypospolitej, pierwsze lata jej istnienia. Właściwie niewiele się dowiadujemy o ogólnej koncepcji polskiej polityki zagranicznej, koncepcji roli odrodzonej Polski w Europie, poza – mówiąc w uproszczeniu – sporem

Roman Dmowski–Józef Piłsudski. Zreferowano jedynie szereg niewątpliwie istotnych działań szczegółowych. To samo dotyczy ocen przedsięwzięć dyplomacji polskiej w latach II wojny światowej

Odnosząc się z kolei do okresu powojennego, to pewien brak niezbędnego dystansu, na co utyskują Panowie Dyskultanci, jest właściwie oczywisty. Przeprowadzenie gruntownych studiów w oparciu o zasoby archiwów rosyjskich jest chyba jedyną drogą, która pozwoliłaby – niezależnie od historycznego podokresu wyznaczonego na przykład przez cezurę roku 1956 – na jakieś głębsze, bardziej wyważone komentarze i opinie. Warto w tym miejscu przywołać tytuł książki dotyczącej Polski, która wyszła spod pióra znanego historyka niemieckiego Hansa-Jacoba Steele – *Independent Satelite (Niezależny satelita*; ja tę pracę znam w wersji anglojęzycznej). Zawarte w tym tytule *contradictio in adiecto* mogłoby być niewątpliwie swego rodzaju mottem dla lat 1944/1945–1989/1990, co jednak nie znajduje odzwierciedlenia w tej pracy. Na tym gruncie rodzi się wszakże pytanie, czy aktualny stan badań na to pozwala?

Mówiąc o technikach dyplomatycznych czy też formach uprawiania dyplomacji, myślę, że rozsądniejszym rozwiązaniem byłoby wyodrębnienie zagadnień z tego zakresu w pewną całość. W ten sposób można by, po pierwsze, pokazać rozwój większości sposobów postępowania w czasie, po drugie, wyeksponować momenty przełomowe, po trzecie wreszcie, zaznaczyć rozbieżności między zasadą formalnoprawną a faktycznie spotykanym zwyczajem. Takimi cezurami były niewątpliwie postanowienia kongresu wiedeńskiego z marca 1815 roku, potem faktycznie lata II wojny światowej, a wreszcie skodyfikowanie części zachodzących wówczas przemian w wiedeńskiej konwencji dyplomatycznej z 1961 roku. Znaczącym przykładem może być kwestia usytuowania ambasadora. Formalnie rzecz biorąc, ambasador danego kraju był przecież reprezentantem głowy tegoż państwa i w konsekwencji był lokowany przy głowie kraju

przyjmującego, ale już w okresie międzywojennym, a także później mówi się o akredytacji przy rządzie danego państwa. W znacznej mierze działo się tak za sprawą tego, że już w czasach nowożytnych, a potem w XIX stuleciu wielu monarchów, na przykład brytyjski, panowało, ale nie rządziło. To samo dotyczyło republik, powiedzmy Rzeczypospolitej, w których obowiązywał czy obowiązuje system parlamentarno-gabinetowy. W rezultacie o tych kwestiach decydowali *de facto* premierzy. W wypadku Polski sprawa jest o tyle bardziej skomplikowana, że rozwój państwa przerwały zabory. W okresie, gdy znikająca z mapy Europy, ambasadorów wysyłały jedynie te państwa, którym przysługiwały honory królewskie. Potem zasadę tę uwspółcześniono, przydając to prawo także niektórym republikom, generalnie „głównym mocarstwom”. Wreszcie – po I wojnie światowej – do grona tego dołączyły także inne, mniejsze kraje. Stąd też po odrodzeniu Rzeczypospolitej dopiero po paru, kilkunastu latach niektórzy jej posłowie zyskiwali, na początku lat trzydziestych – z wzajemnością – rangę ambasadorów. Nie ulega więc wątpliwości, że próba pokazania tego rodzaju procesów w dłuższym okresie pozwoliłaby na uniknięcie powtórzeń. Można by się także z pewnością pokusić o uczynienie tego poza tekstami traktującymi o koncepcjach politycznych i ich realizacji. Dałoby się wówczas również czytelniej zarysować różnicę między pojęciami obiegowymi a tymi, które odzwierciedlają formalny stan protokołu dyplomatycznego.

Chciałbym podzielić się także refleksją o nieco ogólniejszym charakterze. Pan profesor Szczur wspomniał o roli Krzyżaków w historii Polski, o trwającym 150 lat okresie naszych dziejów. Generalnie rzecz biorąc, zgadzam się z poczynionymi przezeń w tej materii spostrzeżeniami. Warto jednak w tym kontekście zwrócić uwagę na znaczące przyspieszenie – w miarę przybliżania się ku współczesności – tempa wydarzeń, w tym również na arenie międzynarodowej. Ów coraz szybszy bieg wypadków nadaje im niewątpliwie różną rangę, niezależnie od czasu ich formalnego

trwania. Jednoznacznie podkreślał to chociażby mediewista pan profesor Stefan Maria Kuczyński. Posłużył się przy tym epoką rozbiorową, jednoznacznie twierdząc, że gdyby te sto dwadzieścia trzy lata przerwy w samodzielnym bycie państwowym przypadły w którejś z wcześniejszych epok, to bez wątpienia wywarłyby o wiele mniejszy negatywny wpływ na nasze dzieje państwowo-narodowe, poczyniłyby o wiele mniejsze spustoszenia w każdej ze sfer życia zbiorowego. W zasadzie wydaje się, iż trudno w związku z tym przecenić negatywny wpływ XIX stulecia.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden element, o którym wspomniał swego czasu pan profesor Janusz Padewski, pisząc o odrodzeniu państwa polskiego. Myślę o postrzeganiu niektórych związanych z tym procesem zjawisk, chociażby kwestii granic, przez ówczesne, ale także dziewiętnastowieczne elity intelektualne, majątkowe i polityczne. Otóż nikt wówczas nie kwestionował ani granic z 1772 roku, ani – co było konsekwencją pierwszego założenia – koncepcji państwa pomyślanego jako Rzeczpospolita Narodów (w stosunku do tej ostatniej kwestii niekoniecznie Obojga). Polska etnograficzna „narodziła” się na dobrą sprawę dopiero pod piórem Juliana Marchlewskiego (*sic!*) w roku 1919. W tym kontekście aż prosi się, by we wstępnych partiach tekstów poświęconych zarówno odtwarzaniu państwa po „wielkiej wojnie”, jak i potem w latach przełomu, w okresie II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu znalazły się tego rodzaju elementy o charakterze generalnym. Pozwoliłoby to na lepsze objaśnienie szeregu posunięć o taktycznym wymiarze.

Sądzę nadto, że oceny o ogólniejszym charakterze pozwoliłyby na oderwanie się od nadmiernie rozbudowanej faktografii, bowiem duża ilość szczegółów jedynie zaciemnia obraz, powoduje, że odbiorca często traci myśl przewodnią wywodów autora. Czym innym jest monograficzne ujęcie pewnego problemu lub też stosunkowo krótkiego okresu historycznego, a czym innym spojrzenie na całość z większego dystansu. Można zilustrować to ustaleniami pana Jana

Weinsteina w sprawie rozmowy, do której doszło w kwietniu 1939 roku między rumuńskim ministrem spraw zagranicznych Grigore Gafencu a jego polskim odpowiednikiem płk. Beckiem. Rumun roztoczył przed swymi czytelnikami barwną, acz całkowicie nierealistyczną wizję całonocnej wymiany poglądów, podczas gdy w rzeczywistości obaj panowie konferowali jedynie stosunkowo krótko na trasie Kraków-Katowice. Poczynione w tej mierze uściślenia są istotne, acz nie mieszczą się, czy też nie powinny się mieścić, w ujęciach syntetycznych.

Nie znaczy to bynajmniej, że należy uciekać od egzemplifikacji, to znaczy pokazywania pewnych procesów poprzez osobę głównego ich aktora czy aktorów. Można wspomnieć chociażby o osobie Kazimierza Olszowskiego, znakomitego, jak pisze w swej części pan profesor Piotr Łossowski, negocjatora, zwłaszcza w sporach z Niemcami, doskonałego znawcy prawa niemieckiego, również tego stosowanego jeszcze w Cesarstwie Niemieckim, a więc także w zaborze pruskim. Szkic jego postaci stanowi rodzaj ulubionej przez Normana Daviesa kapsuły, przybliżającej w tym wypadku obraz polskiego międzywojennego grona pracowników służby zagranicznej. Jest to niewątpliwie zabieg trafny i bardzo potrzebny.

Pan profesor Łossowski nie uchylił się na szczęście od oceny poczynań pułkownika Becka. Powołuje się przy tym na współczesne ministrowi opinie jego podwładnych, na przykład posła Rzeczypospoliej w Wiedniu Jana Gawrońskiego. Postać ministra Becka mieści się niewątpliwie w ramach tego, co sygnalizowałem wcześniej, to znaczy, że zwłaszcza u schyłku międzywojnia była ona przez jego politycznych oponentów postrzegana przez pryzmat wspomnianego już „państwowotwórczego machania ogonkiem”, a potem, na uchodźstwie zwłaszcza, gdy w kraju u steru władzy na dobre usadowili się komuniści, oceniano ją z reguły *à rebours*. Tym istotniejsze jest zdanie ludzi, którzy mieli okazję do przyjrzenia się problematyce międzynarodowej od strony kulis. Pozwala to na ogólniejsze spojrzenie na międzywojenne

dwudziestolecie, a w pewnym stopniu także na lata II wojny światowej, chociaż ocenie tej ostatniej na pewno dobrze zrobiłaby dłuższa perspektywa czasowa.

Pan profesor Jerzy Tomaszewski, mówiąc o tym właśnie okresie, wspominał o pewnym, jak sam to określił „pozornym drobiazgu”, którego ujęcie w tekście książki *de facto* zaciemnia jedynie obraz ówczesnych stosunków polsko-sowieckich. Kwestia ta nie podlega dyskusji, natomiast w kontekście stosowania pojęcia „Polacy” i „obywatele polscy” należy przypomnieć, iż w następnej partii tekstu (s. 534) znalazł się *passus* o nocy sowieckiej ze stycznia 1943 roku, która całą ludność zamieszkującą tereny okupowane od września 1939 roku przez ZSRR uznała za obywateli tegoż państwa. Zaowocowało to przymusową paszportyzacją, a z drugiej strony intensywnymi działaniami strony polskiej do zmiany tego stanu rzeczy. Casus ten dowodzi, że szereg problemów można by ujmować przekrojowo, omówić je wyczerpująco w jednym miejscu, co niewątpliwie ułatwiłoby czytelnikowi percepcję. Opowiadanie się za *stricte* chronologicznym ujęciem materiału zmusza często do powtórzeń i sprawia zarazem, że pewne fakty umykają naszej uwadze.

Rozdział omawiający poczynania i charakter dyplomacji polskiej po II wojnie światowej różni się od pozostałych tym, że właściwie nie ma on w literaturze przedmiotu poprzedników. Jednym z niewielu i to fragmentarycznych wyjątków były dwie prace pana profesora Włodzimierza T. Kowalskiego: *Polityka zagraniczna RP. 1944–1947* (Warszawa 1971) oraz późniejsza *Polska w świecie: 1945–1956* (Warszawa 1988), niewspomniane *nota bene* w bibliografii selektywnej. To samo dotyczy interesującej pozycji, która wyszła spod pióra pana profesora Jerzego Krasuskiego, zatytułowanej *Tragiczna niepodległość. Polityka zagraniczna Polski w latach 1919–1945* (Poznań 2000). Pod adresem chronologicznie wcześniejszych partii dzieła padało sporo uwag krytycznych, rzeczywiście zasadnych. Najmniej wywołały ich rozdziały traktujące o międzywojniu i latach II wojny światowej. Z pewnością

słusznie. Niemała w tym zasługa historiografii uchodźczej, która zmuszała badaczy krajowych do intelektualnego wysiłku. Wracając natomiast do powojennej problematyki, raz jeszcze pragnę podkreślić, że gdyby wpieryw zaprezentować czytelnikowi naświetlenie generalistów i na tym tle odnieść się do pewnych posunięć szczegółowych, to ich oceny byłyby z pewnością bardziej zasadne.

S. Dębski: Chciałbym wrócić do sprawy, którą na wstępie swej wypowiedzi poruszył pan profesor Tomaszewski. Zacząć od zadania, jakie ta książka miała spełniać. Rzeczywiście, sądząc po tytule i pobieżnym przeglądnięciu, wydawałoby się, że mamy do czynienia z podręcznikiem, ale wówczas należałoby oczekiwać, że poszczególne części historii, która jest tutaj opisywana, zostaną sporządzone, czy też ułożone, w pewien jednolity schemat. To ułatwia porównania, ułatwia zapoznawanie się z poszczególnymi częściami i służy celom dydaktycznym. Tymczasem mamy raczej zbiór szkiców dotyczących różnych epok. Nie wystarcza wytłumaczenie, że oto mamy różny zasób źródłowy, że w wieku XIX państwo polskie nie istniało, w związku z tym ten opis musi wyglądać inaczej. W moim przekonaniu akurat wiek XIX dobrze się na tle innych rozdziałów prezentuje... Dlaczego? Dlatego, że ten polonocentryzm, który tutaj wielu moich przedmówców książce zarzuciło, jest najmniej widoczny. W wieku XIX trudno mówić o polskiej dyplomacji i jakichś jej funkcjach w wyabstrahowaniu od tego, co się dzieje na arenie międzynarodowej, co wielkie mocarstwa ze sprawą polską chcą zrobić. Mamy więc raczej do czynienia z przewodnikiem niż z podręcznikiem. Jest takie powiedzenie, że mądry nie zauważy, a głupi pomyśli, że tak ma być. Z kolei profesor Tischner lubił powtarzać, że głupich jest więcej. Dlatego to jest groźne. Dlatego, że podręcznik czy przewodnik należy oceniać nie pod kątem tego, co w nim jest, tylko pod kątem tego, czego w nim nie ma.

Przez pominięcie upowszechniają się pewne sądy, nawet nie wartościujące, i czegoś czytelnikom może zacząć brakować. I tutaj, odnosząc się bardziej szczegółowo do części pisanej przez pana profesora Piotra Łossowskiego, chciałem zwrócić uwagę na kilka rzeczy. Po pierwsze, stosunkowo dobrze są w tej części omówione kwestie personaliów. Kto, co, kiedy, jakie miał wykształcenie, niekiedy skąd się wywodził. Struktura MSZ-etu jest dobrze omawiana. Natomiast wiedza kontekstowa pozostawia w moim przekonaniu sporo do życzenia, szczególnie dotyczy to lat trzydziestych. Otóż na temat paktu czterech oraz idei paktu wschodniego są dwa zdania. Pakt wschodni to jest ostatnia samodzielna akcja dyplomacji francuskiej przed rokiem 39. Pakt czterech, to jest z kolei bardzo groźna próba demontażu systemu wersalskiego, w oparciu o który Polska powstała, istniała i była głęboko zainteresowana w obronie tego systemu. Tymczasem poświęcono tym dwóm kwestiom dwa zdania. Jest kwestia koncepcji „Miedzymorza”, szerzej omówiona. To dobrze, to polski projekt, ważny, ale z punktu widzenia mocarstw – egzotyczny.

Kolejna rzecz: problem demilitaryzacji Nadrenii. Znowu w zasadzie jest wspomniane, że taka demilitaryzacja nastąpiła, natomiast, co Polacy wówczas chcieli osiągnąć, jakie akcje podjęli, jakie było ich stanowisko... W moim przekonaniu to jest brak istotny.

I wreszcie rzecz w moim przekonaniu najważniejsza i bardzo niefortunna. Tak bym to określił. Otóż strona 508, rozdział dotyczący ostatniego przedwojennego okresu polskiej dyplomacji, czy też historii polskiej polityki zagranicznej – które to pojęcia często zlewają się w tej pozycji – i nie ma ani słowa o sojuszu polsko-brytyjskim z 25 sierpnia 1939 roku, nawet data nie pada. Bez tego traktatu tymczasem powstanie armii polskiej we Francji, potem w Wielkiej Brytanii byłoby po prostu prawie niemożliwe. Pewnie by coś potem, jakieś sztukowanie nastąpiło, to jest fakt, do którego bez „gdyby”, możemy się odnieść.

II wojna światowa. Tutaj drobniejsza uwaga. Jest mowa o pewnym zwrocie, jaki nastąpił w polityce Wielkiej Brytanii i Francji wobec Związku Sowieckiego w roku 1940, po napaści Związku Sowieckiego na Finlandię, w zwrocie w stanowisku mocarstw zachodnich wobec Związku Sowieckiego i problemu polskiego. Autor tutaj pisze, że Francja i Wielka Brytania przejawiały nagle bardzo wojownicze stanowisko wobec Związku Sowieckiego. To jest problem bardziej skomplikowany. Mimo wszystko, mimo naszych polskich zarzutów, że zrobiono niewiele albo niewystarczająco, stosunki między Francją a Związkami Sowieckimi były bardzo chłodne od września 39 roku. W stosunku do Polaków – tego nie przejawiano, mówiono im, żeby się uspokoili, czy do tej sprawy podchodzili łagodniej, z większym dystansem. Natomiast w stosunkach ze Związkiem Sowieckim to stanowisko mocarstw zachodnich można uznać za dość twarde i niekiedy pryncypialne.

Teraz rozdział dotyczący lat powojennych. Brakuje tu uwagi, że to jednak jest coś innego niż było wcześniej. Tymczasem rozdział jest zatytułowany: „Nowe uwarunkowania dyplomacji polskiej po II wojnie światowej”. Znaczy tak, była dyplomacja polska, która miała wcześniej inne uwarunkowania, teraz też jest dyplomacja polska, tylko ma inne uwarunkowania... To jest duże, moim zdaniem, nadużycie. I ten brak jest bardzo istotny. Wspominałem o roli braków w tego rodzaju pozycjach.

Otóż zestawienie Pawła Włodkowica, Jana Dantyszka, Adama Jerzego Czartoryskiego, Augusta Zaleskiego, Edwarda Raczyńskiego z Zygmuntem Modzelewskim i Stefanem Olszowskim w jednej linii, wymienienie tych nazwisk jak gdyby jednym tchem, w moim przekonaniu wymagałoby jednak jakiegoś komentarza.

Jeszcze jedna rzecz, otóż ten polonocentryzm, który się także w tym rozdziale przejawia, nie pozwala dostrzec, że stosunki z PRL były dla państw demokratycznych funkcją stosunków ze Związkiem Sowieckim i od wizyty de Gaulle'a

w 44 roku w Moskwie ta tendencja jest widoczna... Poza tym to nie tylko dotyczy Francji, Wielkiej Brytanii, ale na przykład również Szwecji. Jeszcze jedna rzecz, otóż brakuje w tym rozdziale – bardzo – tego opisu charakterystyki osób, które tę politykę prowadziły, w tej peerelowskiej dyplomacji działały. Kto to był, skąd się wywodził, jaką dotychczasową karierę miał za sobą – to jest niezwykle istotne. Skądinąd wiemy, czytając opracowania dotyczące stosunków polsko-francuskich, czy polsko-szwedzkich w tym okresie, że na początku na te placówki przyjeżdżali ludzie bardzo surowi, delikatnie mówiąc, po prostu niekiedy chamscy, i tak byli odbierani, zwłaszcza w porównaniu do dyplomatów rządu emigracyjnego, którzy nie tak dawno przecież działali w tych samych placówkach, a nawet budynkach.

Jest tutaj wspomniana przez profesora Łossowskiego ocena o polskich dyplomatach przed 39 rokiem, dla których znajomość języków obcych, trzech podstawowych, czyli francuskiego oczywiście, angielskiego, niemieckiego oraz dwóch rzadkich, nie była żadnym problemem, do tego Polacy charakteryzowali się dobrą lub bardzo dobrą znajomością języka kraju działania. Szybko się tego języka uczyli i bardzo często zbierali na ten temat pochwały.

Jeszcze jedna rzecz, o której chciałem tutaj wspomnieć. Mianowicie na stronie 555 dowiadujemy się, że zimna wojna rozpoczęła się na skutek niekonsekwentnej realizacji porozumień Wielkiej Trójki z końcowego okresu wojny... I znowu; to że nie wspomina się tu o słynnej długiej depeszy, to już zostało zauważone, ale nie ma nic o kwestii Iranu. A to jest pierwsza sprawa, jaką Rada Bezpieczeństwa w ogóle się zajmuje. W moim przekonaniu to jest pierwszy konflikt zimnowojenny *sensu stricto*. Stany Zjednoczone w odpowiedzi na łamanie przez Związek Sowiecki podjętych zobowiązań zagroziły użyciem siły, no po Hiroszynie i Nagasaki taka zapowiedź była bardzo wymowna i jednoznaczna.

Podsumowując. To nie jest dobry przewodnik i w związku z powyższym istnieje poważna potrzeba, w moim

przekonaniu, aby pomyśleć o przewodniku, który nie tylko uwzględnia osiągnięcia ostatnich, powiedzmy, dwudziestu lat nauki, ale co ważniejsze: opisuje te braki, które ten podręcznik po prostu wytworzył w świadomości, czy może wytworzyć.

H. Samsonowicz: A jeszcze można trzy krótkie uwagi? Nawiązując do ostatnich tutaj partii wystąpienia mojego przedmówcy, rzeczywiście zastanawiam się, czy niektórych elementów nie można przedstawić by było bardziej atrakcyjnie, właśnie w pigułce, jak tu było powiedziane. Przykładowo poziom naszych dyplomatów po II wojnie światowej: sam znałem takiego posła nadzwyczajnego, który w Brazylii był i przyszedł na przyjęcie do prezydenta z Orderem Lwa Brazylijskiego, to było najwyższe odznaczenie Cesarstwa Brazylijskiego. Kiedy szef protokołu spojrzął i powiedział: to pan minister musiał być bardzo młody, kiedy pan to dostał, na co ten powiedział: to, a nie, to mam po dziadku... Druga uwaga, którą chciałem tutaj zrobić, to rzeczywiście jest potrzeba uwzględnienia, czym jest państwo w różnych epokach, we wstępie. Państwo w X wieku naprawdę było czym innym niż państwo w wieku XX. No i ostatnia sprawa, tu jest tylko historia stosunków zagranicznych. Ja nie wiem, czy można pisać o stosunkach zagranicznych, nie uwzględniając stosunków wewnętrznych... Tutaj specjaliści mnie poprawią, mnie się wydawało, że nie można.

J. Chodor: W dyskusji, która się tutaj nawiązała, bardzo interesującej, głównym problemem jest chyba zderzenie się rzeczywistości z samym tematem, ponieważ dziesięć wieków nie będzie łatwo potraktować w jakiś jednorodny sposób. Więc rzeczywiście, jakiś przewodnik, o czym mówił pan Dębski, byłby rzeczą idealną. Ale w takim razie rzeczywiście nie można by było chyba równą miarą i z wykorzystaniem takich samych zagadnień problemowych potraktować całego

tego zagadnienia. I jeżeli przyjąć, że rozwinięta dyplomacja istnieje faktycznie dopiero od wieku XVI, to co zrobić z nie-szczęsnym średniowieczem? Też się nad tym zastanawiałam, ponieważ ta epoka jest mi najbliższa. I myślę, że w takim razie, być może, tutaj klucz do rozwiązania tego problemu leżałby w odmiennym potraktowaniu tematu. Może trzeba by zająć się problematyką dyplomacji nie w sposób ogólny, tylko przejść od ogółu do jakiegoś szczegółu i spróbować po prostu znaleźć genezę pewnych wydarzeń, ale nie zastanawiać się nad technikami dyplomatycznymi w momencie, kiedy ich jeszcze nie było. Być może to pozwoliłoby przy jakiejś innej próbie napisania, bo przecież droga jest otwarta, innej historii dyplomacji polskiej na uniknięcie podobnych problemów. I zgodzę się z tym, że za dużo, zdecydowanie za dużo jest tutaj historii politycznej. Ale chciałabym jednak się zdobyć na pewną małą polemikę z moimi znakomitymi przedmówcami. Co właściwie z ową, powiedziałabym, dramatycznością metod dyplomatycznych stosowanych w XI wieku? Dyplomacja współczesna, wieku XX, też nie jest chyba od tego wolna, więc...

H. Samsonowicz: Tego już chyba nie robią dyplomaci...

S. Szczur: Nie przypuszczam, żeby profesor Geremek kogoś krzywdził...

R. Stemplowski: Mówi Pan o polityku.

K. Ruchniewicz: Cywilizujemy się...

J. Chodor: Weźmy pod uwagę fakt, ta myśl przyszła mi w trakcie tej dyskusji, ale na przykład słynny kazus zamachu na papieża w 1981 roku. Tu śledztwo zostało w końcu umorzone, ale gdzieś były jakieś, powiedzmy, wątki

dyplomatycznej działalności, no nie wiem, inspiracji przynajmniej. Tak chyba jest zawsze, że emanacją polityki zagranicznej, w ogóle działania państwa będzie albo dyplomacja, albo działania gwałtowne, czyli... Tak to mniej więcej wygląda. Natomiast uważam, że jednak jest jakiś wspólny mianownik, pod który można byłoby rzeczywiście podciągnąć te czasy bardziej odległe i czasy bliższe. Być może właśnie jakaś podstawa prawna, bo już i w średniowieczu było prawo narodów, które otaczało szczególną ochroną prawną posłów. Mam na myśli pewien epizod, który znam akurat nie z lektury tej książki, ale z lektury *Roczników Długosza*. To jest wiek XV, rok 1410, więc już bliżej tego cywilizowanego okresu dyplomacji. Wydarzenie to dotyczy szczególnego potraktowania przez Władysława Jagiełłę poselstwa mieszczan toruńskich w okresie wojny toczony wówczas z Krzyżakami. W momencie kiedy w obozie królewskim pojawili się mieszczanie z jakimś wiernopoddańczym adresem, zostało ujawnione, że mieli również nawiązane stosunki ze stroną krzyżacką. To poselstwo zostało puszczone wolno, a mieszczanie toruńscy nie zostali ukarani, bo to właśnie byli posłowie, mimo że był dowód zdrady wcześniej złożonej przysięgi wierności wobec króla Władysława Jagiełły.

I jeżeli można by było coś ewentualnie udoskonalić, czy poddać pewnej krytyce w tych dwóch pierwszych częściach książki, to myślę, że znów zabrakło jednak bliższego przyjrzenia się procesom decyzyjnym, zabrakło wzmianek o postaciach, które rzeczywiście podejmowały decyzje. Zasługuje na szersze omówienie kwestia samych poselstw. W części dotyczącej dyplomacji Jagiellonów i Andegawenów jest to bardziej dopracowane pod tym kątem. Ciekawym zagadnieniem byłoby prześledzenie, jak wyglądała sama kancelaria. Wszystko to powinno być bardziej szczegółowo omówione. Dziękuję.

T. Szumowski: Słuchając tej dyskusji, muszę powiedzieć, że narasta we mnie niepokój, ponieważ jak państwo zapewne wiecie, omawiane przez nas dzieło jest w jakimś stopniu

dofinansowywane przez MSZ, a ponadto ma być przetłumaczone na język angielski...

S. Szczur: Jezus Maria!

T. Szumowski: ...i ma być sztandarowym dziełem rozsyłanym po świecie dla ukazania prawdziwej historii polskiej dyplomacji. Nowe spojrzenie itd., itd.

J. Tomaszewski: Będzie kupka śmiechu.

W. Borodziej: Mało śmieszne.

T. Szumowski: Tak, to jest dosyć niepokojące. Ale to jest ogólna uwaga. Chciałbym w tej dyskusji zasygnalizować kilka drobniejszych rzeczy.

H. Samsonowicz: Przemówienia pewnego prezydenta, tłumaczone były tak, żeby wywoływały zachwyt intelektualisty.

T. Szumowski: Dwa słowa komentarza do tego, o czym mówił pan doktor Dębski, to jest o dyplomacji II wojny światowej, na marginesie układu z 1939 roku z Wielką Brytanią (notabene układ ten rzeczywiście nie znalazł się w *Historii dyplomacji polskiej* tam, gdzie powinien być umieszczony). Jeżeli II Rzeczpospolita posiadała układy z innymi państwami, to należałoby odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu porozumienia te dziedziczyła Polska Ludowa i czy w ogóle je dziedziczyła. Dla przykładu niezwykle ciekawa historia wspomnianego tu już kilkakrotnie polsko-brytyjskiego traktatu z sierpnia 1939 roku, który zawierał w sobie stwierdzenie, iż jest zawarty na pięć lat oraz że jeżeli nie zostanie

wypowiedziany na pół roku przed jego wygaśnięciem, to jego ważność przedłuża się automatycznie o kolejne pięć lat. W 1947 roku, a więc już dobrze po wojnie, ówczesny minister spraw zagranicznych PRL Zygmunt Modzelewski wręcz dopominał się u Brytyjczyków o wykonanie tego układu w nowych warunkach (już peerelowskich). Uważał bowiem, iż układ ten, jako niewypowiedziany, nadal obowiązuje i, że antyniemieckie ostrze sojuszu powinno obligować Wielką Brytanię do współdziałania na arenie międzynarodowej razem z PRL przeciwko Niemcom. Należałoby więc zastanowić się, czy i kiedy układ z sierpnia 1939 roku wygaś: w 1944 nie został wypowiedziany, w 1949 i w kolejnych „pięcioleciach” również nie, a zatem czyż nie można by mniemać, iż układ ten nadal funkcjonuje? Profesor Krzysztof Skubiszewski, wybitny znawca prawa międzynarodowego, pierwszy minister spraw zagranicznych odrodzonej Rzeczypospolitej, zapytany kiedyś przeze mnie, co sądzi o tej kwestii, stwierdził, że układ wygaś w roku... 1990 (*sic!* – T.S.). Z punktu widzenia prawa międzynarodowego (a wbrew realiom politycznym) układ ten miał prawie do końca 1990 roku wartość prawną.

H. Samsonowicz: A dlaczego wygaś?

T. Szumowski: Otóż wygaś dlatego, gdyż po zawarciu porozumień „4+2+1” minister Skubiszewski podpisał w listopadzie 1990 roku z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Niemiec H.D. Genscherem traktat o potwierdzeniu istniejącej granicy między Polską a Niemcami. Wygaśła więc konieczność zamykania układu z sierpnia 1939 roku, ponieważ w sposób formalny „wypełnił się on pokojem i zakończeniem wojny”. Ale oznacza, że ogromna, jak sądzę, większość Polaków (i Brytyjczyków) żyła i żyje nadal w poczuciu nieświadomości, iż do 1990 roku pozostawaliśmy z Wielką Brytanią w ścisłym sojuszu. Jest to oczywiście anegdota, ale brakuje w *Historii dyplomacji* takiego „przełożenia” pewnych

zjawisk i faktów z okresu przedwojennego na okres powojenny. Zgadzam się z profesorem Borodziejem, że to jest, nie jest ta dyplomacja, nie te sposoby, nie ta polityka zagraniczna itd. Tym niemniej i dzisiaj powołujemy się na funkcjonowanie pewnych układów i porozumień z lat dwudziestych, trzydziestych. Często drobnych i być może nie wywołujących wielkiego wrażenia – są to układy dwustronne, na przykład o ekstradycji czy o współpracy w dziedzinie muzealnictwa. Trzymając się wykładni prawa międzynarodowego, układy te nadal obowiązują. Tak więc być może również i wspomniany już układ polsko-brytyjski z 1939 roku, tak istotny w naszej i europejskiej historii najnowszej, należałoby pod względem formalnym doprowadzić do jakiegoś momentu i po prostu zamknąć jednym zdaniem, stwierdzając, że przestał obowiązywać w tym i w tym roku, i może dołączyć na koniec drobne podsumowanie.

Zabrakło mi także w omawianej przez nas pozycji wydawniczej rozdziału czy podrozdziału poświęconego polityce zagranicznej rządu emigracyjnego 1945–1990. Jeżeli bowiem uważa się, iż przekazanie insygniów przez „Polskę na Uchodźstwie” w 1990 roku było spełnieniem i zakończeniem misji trwania „na straży wartości oraz imponderabiliów niepodległej Ojczyzny”, to warto pamiętać, że przez te 45 lat funkcjonowały w Londynie (oczywiście wiadomo, w ramach jakich uwarunkowań) szczątki struktur MSZ Drugiej Rzeczypospolitej (nawet do jakiegoś czasu w wymiarze zagranicznym). Starano się, w miarę skromnych możliwości, utrzymywać kontakty zagraniczne (także, a może przede wszystkim z organizacjami emigracyjnymi innych państw bloku sowieckiego, mającymi swe siedziby na Zachodzie), prowadzono żywe teoretyczne debaty poświęcone polityce zagranicznej.

Weźmy chociażby pod uwagę funkcjonowanie od 1948 roku w Europie Ruchu Europejskiego (*European Movement*), który był jakże istotnym forum współpracy i myśli europejskiej dla wielu społeczności emigracyjnych, miejscem zachodnioeuropejskiej dyskusji o przyszłości naszego kontynentu,

strukturą, w ramach której wybitni przedstawiciele establishmentu emigracyjnego, na przykład Edward Raczyński – ambasador i prezydent...

R. Stemplowski: Józef Retinger...

T. Szumowski: ...odgrywali bardzo ważną rolę w kształtowaniu obrazu Polski i Polaków w Europie, niejako w konkurencji do polityki zagranicznej PRL. Podobny, a zarazem inny charakter kreowania czy podtrzymywania kontaktów zagranicznych w okresie powojennym (zwłaszcza w wymiarze wschodnio- i środkowoeuropejskim), w tym także politycznych, miała działalność osób i środowisk skupionych wokół paryskiej „Kultury”. Myślę, że warto o tym pamiętać i nie powinno się tego pomijać w opracowaniach dotyczących historii polskiej polityki zagranicznej adresowanych także do odbiorcy zagranicznego. Dziękuję.

R. Skowron: Jeszcze chciałbym odnieść się do koncepcji pracy. Do wątków, które przewijały się w panów wypowiedziach. Metody działań, technika czy ceremoniał dyplomatyczny to znakomity przykład, jak można było złamać barierę chronologiczną, to elementy o długim trwaniu, przekraczające sztywne politycznie wyznaczone cezury.

Teraz chciałbym nawiązać do wypowiedzi pana doktora Szumowskiego, mam bardzo duże wątpliwości co do zasadności tłumaczenia angielskiego. To ważna informacja, bo kiedy *Historia dyplomacji polskiej* zostanie przetłumaczona na język angielski, będzie funkcjonowała w międzynarodowym obiegu naukowym, dla mnie, z punktu widzenia dziejów nowożytnych...

S. Szczur: Jak w Polsce wyjdzie, to nie ma niebezpieczeństwa.

R. Skowron: ...po prostu jestem przerażony. Przede wszystkim dlatego, że nie przedstawimy dziejów polskiej dyplomacji w powiązaniu z najważniejszymi zagadnieniami polityki europejskiej, sytuacją międzynarodową, konfliktami i planami głównych aktorów sceny politycznej w Europie nowożytnej. Tego tutaj nie ma, tak, tego tutaj nie ma. Dla mnie to cofnięcie. Pod kątem odbiorcy zagranicznego należy przygotować coś zupełnie innego. W wydawnictwie nie jest poruszony na przykład wątek drobnych czy raczej krótkich kontaktów dyplomatycznych, a z punktu widzenia europejskiego, dzisiejszej rzeczywistości europejskiej, bardzo ciekawych. Takim dobrym przykładem może być Toskania i jej kontakty z Polską w początkach XVII wieku. W takiej, przeznaczonej dla odbiorcy zagranicznego, pracy wszystkie te elementy, a więc najważniejsze konflikty, ale również specyficzne kontakty, winny się znaleźć. W omawianej książce nie znajdziemy jednego: prowadzonej z wielkim rozmachem polityki zagranicznej Wazów – to może i jest, ale rozsypane i zagubione – polityki od Kremla aż po Escorial. Odbiorcy zagranicznemu musi to być pokazane.

R. Stemplowski: Książka jest dziełem pionierskim, ale ma braki. Brakuje analizy związków pomiędzy dyplomacją a ustrojem i ściślej – polityką zagraniczną, gdyż – sądząc po wstępie do książki – autorzy nie obrali jakiejś wyraźnej orientacji teoretycznej, metodologicznej. Historycy, jak zwykle, nie korzystają z koncepcji wypracowanych przez politologów i znawców stosunków międzynarodowych. Polska dyplomacja traktowana jest w tej książce często jako synonim stosunków międzynarodowych, których analiza podlega intuicyjnie, czyli tradycjonalistycznie pojmowanemu paradygmatowi realistycznemu z domieszką analizy polityki zagranicznej. Brakuje ukazania dyplomatycznych aspektów położenia Polski w procesie kształtowania się podziału Europy na Wschód i Zachód w stuleciach XIII–XVII, kiedy ten proces się odbywał. Zresztą, problematyka rozwoju, zacofania, gospodarki

etc. w ogóle nie została poważnie uwzględniona. Brak opisu genezy nowożytnego systemu międzynarodowego – na przykład Westfalia pojawia się raz: Westfalczycy w XIX wieku serdecznie witają naszych powstańców, a kiedy pada data 1648, to bez związku z porządkiem westfalskim. Brakuje też syntetycznego ujęcia systemu dwubiegunowego z punktu widzenia takiego państwa jak PRL. Zasadniczo nie ma problemu emigracji, a to jest jeden z poważnych problemów polityki zagranicznej nie tylko w okresie międzywojennym, ale także wojennym i powojennym. Nie ma rozważań o znaczeniu dyplomacji w stosunkach ze Stolicą Apostolską w okresie II wojny światowej. Dalej, brakuje mi przedstawienia bodajże najważniejszego przejawu udziału dyplomacji PRL w polityce światowej, czyli polskiej misji mediacyjnej w konflikcie między Północnym Wietnamem a Stanami Zjednoczonymi. Brakuje nie tylko stosunków z Chinami, ale nie ma problematyki dyplomacji wobec USA. Gdy idzie o stosunki z dominującym sąsiadem wschodnim, autor usiłuje rozwiązać problem poprzez stosowanie określeń ujemnie wartościujących. Nie chodziło wówczas o państwowy klientelizm tylko, kategoria wasala także nie zadowala. Mówi się w książce, że ZSRR był hegemonem. Tylko hegemonem? Nie ma poważnej analizy położenia Polski, choć w jednym miejscu mówi się o ograniczeniu suwerenności, ale za tym nic nie idzie, nie wiadomo, o jak ograniczonej suwerenności mowa, czy w rozumieniu tak zwanej doktryny Breżniewa, czy w dualistycznym ujęciu prawnej suwerenności. Sprowadzanie wszystkiego do działania grupy osób, która otrzymywała rozkazy z Moskwy, to także uproszczenie. Tu chodziło przede wszystkim o strukturalną zależność, o to, że ścieżka rozwojowa jednego państwa, dominującego, determinuje drogę rozwojową innego, zależnego, a także o dominację instytucjonalną w sferze dyplomacji, wojska, wszelkich policji, mediów etc. Pojawiają się też tezy całkowicie błędne, na przykład autor stwierdza, że Polska zetknęła się po raz pierwszy z problemem kolonializmu dopiero w ONZ.

H. Samsonowicz: Kiedy się zetknęła z kolonializmem?!

R. Stemplowski: Z problemem kolonializmu – jakoby dopiero po II wojnie światowej. Dalej, brakuje mi oceny materiału źródłowego, dyplomatycznego. Przecież ci dyplomaci pisali raporty, sprawozdania, wspomnienia. Nie eksponuje się Dantyszka. A przecież od niego zaczyna się nasza zawodowa służba dyplomatyczna. Nie ma oceny zjawisk w rodzaju ucieczek, szpiegostwa przeciw PRL, działania służb specjalnych przeciw Wolnej Europie, nie ma zagranicznej aktywności wywiadu gospodarczego i wojskowego PRL, oddziaływania na ruchy narodowo-wyzwoleńcze, związki zawodowe i ruchy pokojowe – jako aspektów zwykle drugorzędnych, lecz jednak towarzyszących dyplomacji i po prostu ciekawych. Brakuje poważnego omówienia powojennej polityki „kadrowej” – na przykład. MSZ-owski wątek „marcowy” potraktowany został w tym 800-stronicowym tekście w sposób nie do przyjęcia.

A. Magierski: Zacznę od tego, iż – trochę z goryczą – muszę powiedzieć, że satysfakcję, jaką miałem z wydania tej książki, państwo tutaj mocno nadwerżężyli. I tak – parę słów może najpierw o samej książce, a potem parę słów, niestety, do Was tutaj *ad personam*, jako że nie jesteście bez winy. To, co państwo mówili, to nie jest adresowane do profesora Labudy i pozostałych. To jest adresowane do historyków, a więc i wszystkich was, jak tutaj siedzicie, a mówię to jako wydawca, który w tej branży jest od lat blisko czterdziestu.

[Wychodzi profesor Samsonowicz]

Ale najpierw zacznę o samej tej książce, z której do niedawna, do dziś rana miałem satysfakcję i mocno mi ją zrujnowaliście.

To jest książka w pewnym sensie nietypowa, bowiem powstała w sposób nietypowy. Otóż nie przeszła normalnego

toku książki, czyli: przygotowania do pisania, recenzji, konspektów, etapów recenzji wstępnych, recenzji, później tekstów itd., itd. To książka, która powstała, tak jak zresztą zauważyliście, jako pewne streszczenie tego, co powstało przed laty i przekazane zostało do wydania – szczęśliwie – Wydawnictwu Sejmowemu. I zdołaliśmy ją zrobić z ogromnymi podrodze przygodami.

Przypomnę jeszcze państwu, że książka jest sygnowana przez Wydawnictwo Sejmowe, ale i jednocześnie przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych i przez Instytut Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk, więc nie byle jakie, bądź co bądź, instytucje.

S. Szczur: Ale nikt tego nie czytał.

A. Magierski: A przepraszam bardzo. Dlatego to wszystko mówię, aby mieli państwo całkowitą świadomość, jak książka powstała, ale i by stwierdzić, że rola wydawcy nie zawsze jest rolą wdzięczną.

Byłem świadkiem powstawania wielu książek: monografii, poważnych źródeł i wielu zacnych syntez. Ale z perspektywy dzisiejszej dyskusji powinienem powiedzieć sobie, niewiele mi z tej dumy z różnych rzeczy, w których brałem udział – byłem skromnym uczestnikiem jako wydawca – bowiem wiele w tej chwili zostało, dzisiaj, podważone.

Podważali panowie, właściwie, nie tylko kwestie historii dyplomacji, ale ruszyliście historiografię polską. A ja śmiem twierdzić – i żałuję, że nie ma tutaj pana profesora Samsowicza – śmiem twierdzić, że mimo fatalnych uwarunkowań, jakie towarzyszyły nam przez ostatnich 50 lat, to historiografia polska nie była taka zła – zwłaszcza na tle innych historiografii i zwłaszcza tego regionu świata. Jest wiele pozycji, które przez ten czas się ukazały i o których mógłbym powiedzieć, że były fantastyczne – choć z perspektywy

dzisiejszej oczywiście są gorsze i musimy je weryfikować. I tak na przykład przypomnę, że przez wiele lat wychodził cykl historii powszechnej z autorami, między innymi Mantufflem, księdzem profesorem Żywczyńskim, panem profesorem Pajewskim. Wówczas była to rewelacja i jeszcze ta rewelacja trwa, po dziś dzień właściwie, bo nadal PWN ma je w ofercie. Ale – na Boga – naprawdę przecież to nie wydawcy napiszą za was ostatnie części czy też całość na nowo. Przykład z innej całkiem półki, tak ważne źródła jak *Kroniki Długosza* do dziś nie zostały skończone – a robimy je ponad 40 lat – mimo naprawdę ogromnych wysiłków ze strony wydawcy. I czyja to wina? *Historia dyplomacji*, o której mówimy, powstawała 28 lat temu, nie ma tu pani Basi Janickiej, nie ma – żałuję – profesora Labudy, mogą się mylić...

W. Borodziej: W 72 roku to było, powstanie Komitetu Redakcyjnego pod patronatem Olszowskiego.

A. Magierski: Ten wstęp, o którym tu była mowa, to przecież był wstęp nie Olszowskiego, ten wstęp ulegał różnym przeróbkom, dlatego że zmieniali się ministrowie.

R. Skowron: To trzeba było aktualizować.

A. Magierski: Nie wiem, jak było z ich zainteresowaniem, choć udawali – w każdym razie – że tak. No i *imprimatur* MSZ cały czas przecież towarzyszyło wielotomowym *Dziejom dyplomacji*, które także powstawały całe lata – dobijamy do lat trzydziestu i końca nie widać.

W czasie dyskusji dzisiejszej wzburzenie wywołała informacja o zamiarze wydania edycji angielskiej. Potwierdzam – taka edycja jest przygotowywana. Ale jednocześnie muszę powiedzieć, przypomnieć ponownie, że historia dyplomacji, a właściwie *Dzieje dyplomacji polskiej*, bo tak się nazywa ten

pięcioksiąg, mają swoje lata już długie, funkcjonują już dawno, a *Historia dyplomacji polskiej X–XX w.*, jednotomowa, jest pochodną tamtych ksiąg. Sądzę więc, że był czas na to, aby autorom uświadomić usterki, wywołać żywą dyskusję, wytknąć ustalenia nieaktualne. Z uwag dyskutantów można sądzić, iż to nie tylko kwestia, że *Dzieje dyplomacji* były pisane w innej epoce, bowiem wskazywaliście państwo błędy merytoryczne. A nie można epoką wszystkiego tłumaczyć. Stąd ostatnie moje słowo, ostatni mój apel: Jeśli tak to jest rzeczywiście, to trzeba myśleć o poprawkach. Bo Pan [do R. Stempłowskiego] na wstępie stwierdził – a ja jestem zdecydowanie tego samego zdania – że ta książka, mimo wszystko, jest jednak dużą sprawą w naszej historiografii. Mimo tych wszystkich swoich licznych błędów, a szkoda, oczywiście, że błędy są. Ale jeśli tak, to teraz postarajcie się państwo, aby Wydawnictwo Sejmowe za rok, wówczas bowiem mamy otrzymać tłumaczenie angielskie, otrzymało wersję poprawioną, spróbujcie, żeby ta edycja angielska była lepsza.

K. Ruchniewicz: Mam bardzo krótką uwagę. Odczuwam szacunek dla historiografii sprzed roku 1980; myślę, że każdy z nas młodych uzmysławia sobie, w jak trudnych czasach powstawały niektóre prace, wydaje mi się jednak, że rozmawiamy dzisiaj o książce, która ukazała się już w 2002 roku, czyli od przełomu 1989 roku minęło bez mała 14 lat i w związku z tym wydanie dzisiaj tego rodzaju książki, mogę się wypowiedzieć co do okresu po 1945 roku, jest po prostu ogromnym nadużyciem. A mówienie, że to tylko historycy są winni i teraz wszystkich historyków stawiać pod pręgierzem, to jest po prostu nadużycie, ponieważ ja nie znalazłem, już nie twierdzę, że moich prac, które tutaj opublikowałem na początku lat dziewięćdziesiątych o stosunkach polsko-niemieckich, o problematyce niemieckiej, ja nie znajduję też prac uznanych naukowców, krótko mówiąc, książka ta częściowo nie spełnia moich oczekiwań. Przyznaję, że problematyką stosunków międzynarodowych, a polsko-niemieckich w

szczegółności, zajmuję się od jakiegoś dłuższego czasu, i nie znajduję tutaj wyników moich prac, moich starań, moich badań, i w związku z tym jest to dla mnie nonszalancja naukowa.

R. Stemplowski: Ale to nie jest problem wydawnictwa.

K. Ruchniewicz: To prawda, ale to jest nonszalancja naukowa, że powierza się pracę uznanym tuzom naukowym, kiedy wiadomo, że pisali w minionej epoce i jak tu mogliśmy wielokrotnie usłyszeć, są to wręcz prace, które streszczano i opublikowano w jednym tomie, to w takim razie zatrzymaliśmy się w roku 1980...

S. Szczur: Wcześniej, wcześniej...

K. Ruchniewicz: ...czy nawet w roku 1970 i to już nie jest tym krokiem do przodu, nie jest tą odwagą, o której mówił wcześniej Pan Dyrektor, że proponuje się dzieło, z którym będziemy jakoś polemizować, że to w naszych badaniach po prostu posunie nas do przodu, bo będziemy dyskutować o materiale, który jest tego wart. Natomiast jeżeli ja w tej części powojennej nie odnajduję takich rzeczy, które by mnie zachęciły do tego, ażeby dyskutować z tą częścią, to dla mnie jest to czas po prostu stracony. Wtedy faktycznie łatwiej jest usiąść i napisać część, jakiś mały fragment, na którym ja się znam i wtedy po prostu zaproponować to ewentualnie pod dyskusję...

R. Stemplowski: Ale chodzi o to, żeby mieć w Polsce więcej opracowań tego typu. Niechaj powstaną dwa, trzy albo cztery.

A. Magierski: Ja przypominałem po prostu, że jako wydawca byliśmy w tej szczególnej sytuacji, że otrzymaliśmy pewien towar z rekomendacją dwóch wielkich instytucji, które dają i mówią: trzeba to zrobić. Natomiast w wyniku dzisiejszej dyskusji zwracałem się przed chwilą z apelem do państwa, a jednocześnie wyrażam żal, że dopuściliście w pewnym sensie wy – historycy – do tego, że ta książka w takim kształcie... że temat nie wzbudził ogromnej fali dyskusji wcześniej. Bo gdyby taka dyskusja była lat temu pięć, dziesięć...

R. Skowron: Tak, ale nad czym miałyby być dyskusja?

A. Magierski: Nad tymi tomami, które wychodziły...

S. Szczur: Ona budziła zażenowanie, te tomy budziły zażenowanie...

A. Magierski: Sama omawiana książka powstawała przez trzy lata, czy może więcej. I nie sądzę, aby środowisko nie wiedziało, że jest przygotowywana. W związku z tym mogę – jako wydawca – w tym momencie zwrócić uwagę, że wydawca wyda dobrą książkę, jeśli dobry materiał dostanie, aby od strony edytorskiej była jak najlepsza. Natomiast powtarzam apel o dołożenie wszelkich starań, by edycja angielska była lepsza, bowiem to przecież nie wydawca pisze, lecz to wy piszecie. Gdyby toczyła się dyskusja nad dotychczasowymi tomami *Dyplomacji*, a przecież dawno – w połowie lat dziewięćdziesiątych – wyszedł kolejny tom dziejów, to byłoby wiele możliwości, aby skrytykować, co trzeba, wytknąć błędy. Wówczas mógł być inny wynik...

R. Stemplowski: Ale tam akurat, w opracowaniu wielotomowym *Dziejów dyplomacji*, wiele rzeczy wygląda lepiej od

wątków, które podnosiłem, na przykład tekst o stosunkach ze Stolicą Apostolską, pióra profesora Zygmunta Zielińskiego z KUL-u. To oczywiście, że wydawca ani omawianej dziś książki *Historia dyplomacji polskiej X–XX w.* nie zamawiał, ani nie mógł jej odrzucić.

S. Szczur: Ale czy byli recenzenci, ale nie Instytuty, bo to jest bezosobowe, po nazwisku, kto recenzował całość, czy ktoś recenzował...

A. Magierski: Nie, już mówiłem na początku, jest to o tyle nietypowa książka, że tej całej drogi normalnej w wydawnictwie nie przeszła.

S. Szczur: A no właśnie. Magia Gerarda Labudy, Mariana Biskupa spowodowała, że nikt nie odważył się dać do krytycznego przeczytania.

J. Tomaszewski: Rzeczywiście, jeżeli książka ma mieć charakter reprezentacyjny, nie powinna iść do druku bez recenzji; ja się o niej dowiedziałem, gdy zobaczyłem w księgarni.

S. Szczur: Autorzy są już w tym wieku, że wszystko wiedzą i nie muszą już nic ani czytać, ani być recenzowanymi, i zgoda, i dobrze, brawo. My, jak będziemy w tym wieku, tego wieku dożyjemy, to pewnie też tak będziemy uważać. No, ale całkiem po prostu, jeżeli chodzi o średniowiecze, tam jest stan wiedzy z 1960 roku i tu się nic nie da zrobić.

R. Stemplowski: Ja odmówiłem wydania tej książki przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. Teraz jednak sceptycznie odnoszę się też do zamysłu wydania przez

kogokolwiek angielskojęzycznej wersji. Nie wypada nam jednak bez końca pastwić się nad biednym wydawcą, skądinąd bardzo profesjonalnym i zasłużonym, który właściwie padł ofiarą swej niesamodzielnosci.

A. Magierski: Stało się, rzeczywiście, fatalna rzecz...

R. Stemplowski: Zmierzajmy ku zamknięciu. Raz jeszcze trzeba przypomnieć, że dyskusja redakcyjna nie może być klasyczną recenzją. Dlatego też uczestnicy dyskusji eksponowali swe zastrzeżenia, co może wywołać wrażenie jednostronności, nie wymienialiśmy fragmentów godnych pochwały, nie chwaliliśmy na przykład partii dotyczących służby dyplomatycznej okresu międzywojennego czy fragmentów dotyczących II wojny światowej, żeby wymienić okresy mnie interesujące, nie chwaliliśmy doboru licznych fotografii, ale właśnie podkreślenie zastrzeżeń ma swą wartość. Kto chce jednak wyrobić sobie pełną opinię osobistą o wartości dzieła, sam je musi przeczytać. Zobaczymy, jak zareagują inni czytelnicy¹. Poczekajmy też na głosy redaktorów tomu i jego autorów, którym wysłamy transkrypcję tej rozmowy przed jej ogłoszeniem. Chciałbym jednak zwrócić też ponownie uwagę na sam pozytywny fakt powstania omawianej syntezy. W niewielu krajach istnieją tego rodzaju opracowania, a przecież w Polsce powstała zarówno pięciotomowa wersja, jak i dyskutowana dziś – jednotomowa. To świadczy o żywotności polskiej historiografii i szerzej – o stanie naszej świadomości narodowej. Książka jest bardzo nierówna. Wygląda na to, że synteza ta oddaje stan wiedzy na ogół sprzed kilkunastu lat, a w części dotyczącej okresu powojennego – jest w znacznym stopniu skutkiem trwałości postawy ukształ-

¹ Już po tej dyskusji „Tygodnik Powszechny”, nr 32 z 10 sierpnia, opublikował krytyczną recenzję pióra Piotra Wandycza, a także T. Chińczyński w „Universitatis Gedanensis”, r. 15, 2003, nr 1 (27), s. 135–140 – przyp. red.

towanej przez oficjalną politykę w Polsce lat pięćdziesiątych–osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Oby nasza krytyka przyczyniła się do stworzenia dzieła pełniejszego, z szerokim udziałem nowego pokolenia historyków. Oby też instytucje, które wykazały w minionych latach tyle zrozumienia dla celowości pracy nad historią dyplomacji, szczególnie ministrowie spraw zagranicznych, zechcieli kontynuować swą misję hojnego mecenasa. Każde pokolenie daje swoją syntezę, ale każda nowa synteza buduje na poprzedniej, w części z nią polemizując, w części kontynuując. Praca nad omawianą dziś książką była potrzebna, ale dzisiaj ta synteza należy już do przeszłości syntezy przyszłej. Pora zacząć pisanie syntezy nowej.

Odpowiedzi redaktorów i autorów

List od profesora Władysława Zajewskiego, 21 stycznia 2004 r.

Dziękuję redakcji „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego” za zaproszenie do debaty nad *Historią dyplomacji polskiej X-XX w.* Jestem autorem tylko skromnej części tego dzieła, z okresu przełomu XVIII/XIX w. do powstania listopadowego włącznie. Mógłbym tedy w tym miejscu ograniczyć swój głos do zacytowania li tylko pochwał dr. S. Dębskiego pod adresem autorów tego stulecia. Ale niestety nie mogę. Po pierwsze, wbrew twierdzeniu pana dr. Dębskiego nie napisaliśmy żadnego „przewodnika po dyplomacji” i to z uszczerbkiem dla świadomości czytającej społeczności, z niedostatkami ponoć osiągnięć historiografii ostatniego dwudziestolecia (sic!). Po wtóre, jeśli badacz, historyk, czy ktokolwiek inny, tak formułuje swoje uwagi, to musi je konkretnie zaadresować, bo dzieło jest zbiorowe i obejmuje 10 stuleci! Ale chyba nie były one adresowane do autorów XIX w., skoro wcześniej wysoko pochwalił ten pokaźny w sumie fragment dzieła zbiorowego.

Wykład o dyplomatycznych „zabiegach” twórców Legionów, o międzynarodowym uwikłaniu organizmów półsuwennych, takich jak Księstwo Warszawskie w dobie napoleońskiej, Królestwo Kongresowe po kongresie wiedeńskim, czy w końcu polskie działania dyplomatyczne w powstaniu listopadowym, stanowi nowe podsumowanie zarówno stanu naszej historiografii, historiografii europejskiej, jak też oczywiście badań własnych autora, nowego w tym Zespole, i nie jest „odświeżaniem” czy „odgrzewaniem” czegokolwiek. Co więcej, wszystko to jest ujęte bardzo dokładnie w europejski kontekst dyplomatyczny, wykład wnosi nowe ujęcie i przemyślenia autora na ten temat. Nic tutaj dyskutanci nie dodali, nic nagannego nie dostrzegli, to może tylko autora tej części cieszyć.

Ale mam też kilka uwag ogólnych odnośnie do tej debaty i formułowanych tam zastrzeżeń lub uzupełnień, czy wniosków. Jeden z dyskutantów (prof. Rojek) uczynił uwagę w części zasadną, bo nie odnosi się ona wszak do wszystkich autorów tego tomu, o nadmierną szczegółowość, nadmierną erudycję faktograficzną. Są takie części tego tomu. Osobiście uważam, że są dłużyzny, są one problemem dla czytelników.

To nie jest jakiś przewodnik po dyplomacji! W założeniach nad dziełem, w debatach wstępnych, jak pamiętam z prezentacji nestora naszej historiografii pana prof. G. Labudy, miał to być wykład historii dyplomacji polskiej (nie europejskiej!), adresowany głównie do pracowników służby dyplomatycznej oraz innych osób pracujących z ramienia Polski za granicą, jak też dyplomatów zagranicznych akredytowanych w Polsce. Nie był to w żadnym wypadku podręcznik akademicki o polskiej dyplomacji ani też żaden przewodnik (?) po służbach dyplomatycznych, ani podręcznik technik dyplomatycznych, ani kompendium bibliograficzne do dziejów dyplomacji polskiej. Stąd ogromne ograniczenia w bibliografii, bo od samego początku trwała walka o każdą stronę, by zmniejszyć wymiary tego dzieła. Dyskutanci przedstawili interesujące wizje własnych koncepcji historii dyplomacji, idące niekiedy w zupełnie innym kierunku. Pan prof. St. Szczur widzi w tym tomie „historię polityczną Polski napisaną z polskiego punktu widzenia”, natomiast pan dr Ryszard Skowron domaga się od autorów „napisania dziejów dyplomacji polskiej z punktu widzenia stosunków międzynarodowych”; z kolei pan prof. J. Tomaszewski uzala się, że „zagadnienia formy i techniki dyplomacji zdają się przytłaczać treść działań polskich dyplomatów”. Żartobliwie tylko dodam, że ciekawa byłaby reakcja naszych obecnych posłów tej kadencji na postulat, aby historię dyplomacji polskiej pisać nie z polskiego punktu widzenia i w dodatku wydać takowe dzieło w Wydawnictwie Sejmowym! Ale zadaniem historyka jest oczywiście poszukiwanie prawdy, a nie dogadzanie takim czy innym intelektualnym ograniczeniom lub fobiom niektórych

przedstawicieli. Odniosłem wrażenie z lektury tomu, że każdy wykład tam znajdujący się zanurzony jest mniej lub bardziej w kontekst europejski na tyle, na ile pozwalał tytuł tego dzieła i cel redaktorów.

Jest to w istocie wykład historii dyplomacji polskiej, bo nie było naszym zadaniem napisanie traktatu o dyplomacji europejskiej. Czy znają dyskutanci odpowiednik w naszej historiografii powojennej tego dzieła???

Kilku dyskutantów zasadnie domagało się poszerzenia kontekstu gospodarczego i kulturalnego dla zrozumienia głębszego pewnych posunięć czy koncepcji dyplomatycznych (profesorowie J. Tomaszewski, H. Samsonowicz). Na to powinni odpowiedzieć redaktorzy tomu, ale ta odpowiedź jest bardzo oczywista: wtedy byłoby to dzieło dwutomowe!!! Ja mogę tylko w tym miejscu powtórzyć za Horacym: „Mozolę się nad związłością, ale ciągle widzę niejedno godne do skreślenia!” Nie da się w moim przekonaniu oddzielić linią wyraźnie zarysowaną dziejów dyplomacji od historii politycznej Polski, jakby sobie życzył pan prof. Szczur i nie tylko on, autorzy także! Ale nikomu to się nie udało. Jeśli autor postąpi ściśle według tego zalecenia, to otrzymamy tylko podręcznik form i technik dyplomacji. Jak natomiast ten niewątpliwy związek ma wyglądać w praktyce, to problem wiedzy i talentu autora. To, że wykład czasami tu i ówdzie jest przesadnie erudycyjny, może budzić wątpliwości czytelnika, czy było to konieczne? Nigdy wszelako nie posunę się do powtórzenia opinii Zbigniewa Bieńkowskiego, że „erudycja jest rzeczą najmniej godną szacunku, tylko zamula umysł, przeszkadza myśleniu” („Nowe Książki” nr 1/1999), na serio. To opinia jednak literata i możemy sobie ją w tej debacie pominąć. Nie ma bowiem autentycznej historii bez wysokiej, poprawnej erudycji w zakresie faktów. Jednakże niektórym dyskutantom, którzy są mniej oszczędni w słowach i mają przekonanie (nie wiem, jak zasadne) odkrywania nowych obszarów w historiografii, by pamiętali o słowach Bernarda z Chartres: „Jesteśmy niby karły siedzące na barkach olbrzymów. Dostrzegamy więcej

rzeczy niż dawni badacze, a także rzeczy bardziej odległe, nie zawdzięczamy tego wszakże ani bystrości naszego wzroku, ani wysokości wzrostu, lecz po prostu temu, że oni nas podwyższają swoją gigantyczną wysokością”. Tak, krytykujemy, to naturalne i konieczne w nauce, ale pamiętajmy o osiągnięciach naszych poprzedników w historiografii. I jeszcze jedna uwaga: bardzo cenię sobie głosy tych dyskutantów, którzy upominali się o bardziej wyraziste sylwetki naszych dyplomatów. Osią historii jest człowiek i osobowość człowieka w dziejach dyplomacji odgrywa ogromną rolę. Wystarczy tylko w tym miejscu przywołać kongres wiedeński. Przypominam sobie, że Arystoteles napisał ongi takie zdanie, iż Sofokles przedstawia ludzi, jacy powinni być, natomiast Eurypides opisyuje, jakimi oni są naprawdę...

Warto, by historyk o tym pamiętał.

List od profesora Piotra Łossowskiego, 24 stycznia 2004 r.

W dniu 27 maja 2003 r. odbyła się w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych dyskusja nad wydrukowaną przez Wydawnictwo Sejmowe książką *Historia dyplomacji polskiej X-XX wieku* pod redakcją prof. prof. Gerarda Labudy i Waldemara Michowicza.

Można było oczekiwać, iż uczestnicy dyskusji dokonają wszechstronnej, spokojnej i obiektywnej oceny tej pracy, tak bardzo potrzebnej, gdyż stanowi pierwszą próbę syntezy dziejów dyplomacji polskiej od jej zarania aż do czasów współczesnych.

Tymczasem zgromadzeni badacze, wprawdzie nie wszyscy, ale w niewątpliwej większości, inaczej zrozumieli swoje zadanie. Dyskusję zdominowały głosy napastliwe, nacechowane emocjami. W zasadzie sprowadzała się ona do tego, że starano się wydobyć fragmenty, które w oczach dyskutantów wypadły słabiej. Bardzo je przejawskrawiając i wyolbrzymiając,

wyciągano na tej podstawie wnioski, mające prowadzić do zdyskwalifikowania omawianej syntezy. Zabrakło próby oceny całości książki. Charakterystyczne, że np. okres XVIII i XIX w. został niemal całkowicie pominięty.

Rażą złośliwe uwagi i epitety pod adresem autorów w rodzaju „tuzy naukowe”, mówienie o „magii Gerarda Labudy i Mariana Biskupa”. Doszło nawet do tego, że jeden z dyskusantów sformułował wniosek o „nonszalancji naukowej”, głównie ze względu na to, iż nie uwzględnione zostały wyniki jego badań naukowych.

Wytworzeniu się nieprzychylniej atmosfery wobec omawianego dzieła i jego autorów sprzyjał jeszcze jeden istotny fakt. Reprezentowana była mianowicie podczas dyskusji w zasadzie tylko jedna strona. Wprawdzie zaproszenia otrzymali redaktorzy, prof. G. Labuda i W. Michowicz, jednak wiadomym było, że ze względu na stan zdrowia nie będą oni w stanie przyjechać do Warszawy. Tym bardziej więc razi niezaproszenie autorów poszczególnych rozdziałów. A przecież wówczas dyskusja mogła przybrać inny, sprzyjający bezstronności charakter. Zarzuty mogłyby się spotkać z repliką i wyjaśnieniem.

Nie chciałbym w tym miejscu, korzystając z możliwości sformułowania, niestety dopiero po kilku miesiącach, mej odpowiedzi na piśmie, podejmować polemiki dotyczącej innych rozdziałów. Sądzę, że koledzy autorzy sami odpowiedzą na wysuwane zarzuty. Muszę jednak zająć stanowisko wobec uwag, które zgłoszono pośrednio czy też bezpośrednio do okresu 1914–1939, opracowanego przeze mnie.

W czasie dyskusji mówiono, że należało rozszerzyć syntezę, poruszyć takie kwestie jak międzynarodowe położenie Polski, a nawet omówić stosunki międzynarodowe.

Prof. Wojciech Rojek nadmienia, że także i w moim rozdziale zabrakło „ocen generalnych, wznoszących się ponad chwilę bieżącą”. Chciałbym na to odpowiedzieć, że o dążeniach polskiej polityki zagranicznej piszę wyraźnie, chociaż, siłą

rzeczy, skrótowo. Wspominam, że już u zarania istnienia państwa wystąpiło dążenie do „utrwalenia pokoju, opierając się na umowach międzynarodowych”, podkreśliłem zasadę „trzymania się traktatów, które określiły granice państwa polskiego”.

Natomiast nie zgadzam się z taką wykładnią historii dyplomacji, w której ulegają zatarciu granice pomiędzy położeniem międzynarodowym, polityką zagraniczną a dziejami dyplomacji w ściślejszym znaczeniu tego słowa. W moim przekonaniu historia dyplomacji to przede wszystkim historia aparatu dyplomatycznego, spełnianych przez niego zadań, ludzi, którzy w nim pracowali. Uwzględnione powinno być przy tym oczywiście tło polityki zagranicznej państwa, ale tylko w takim zakresie, ażeby możliwe się stało zrozumienie i wytłumaczenie działań dyplomatów. Nie chciałbym jednak przesądzać, jak te proporcje powinny wyglądać w stosunku do innych epok.

Realizując przyjęte założenia, napisałem książkę *Dyplomacja Drugiej Rzeczypospolitej*, która spotkała się z żywym odzewem. Doczekała się dwóch wydań, w 1992 i 2001 r., które szybko się rozeszły. Wydrukowane recenzje, a także listy otrzymane od czytelników utwierdziły mnie w przekonaniu o słuszności przyjęcia takiej wykładni tematu. Właśnie w oparciu o wymienioną książkę napisałem rozdział do stanowiącej przedmiot dyskusji syntezy.

Rzecz oczywista, że można o dyplomacji pisać i w inny sposób, jednak sądzę nadal, że miejsce dla szerszych rozważań na temat położenia i polityki zagranicznej jest przede wszystkim w ogólnych syntezach historii Polski, a także pracach poświęconych problemom jej polityki zagranicznej.

W stosunku do mego rozdziału sformułowano stosunkowo mało zastrzeżeń. Znalazło się między innymi kilka spraw szczegółowych. Prof. Jerzy Tomaszewski zwrócił uwagę na nieścisłości, które zakradły się do opisu stosunków polsko-czechosłowackich w 1918/19 r., a dotyczących początków zatargu. Zgadzam się, że należało bardziej

precyzyjnie określić motywy postępowania strony czechosłowackiej. Natomiast nie mogę się zgodzić z prof. Tomaszewskim, kiedy pisze, że nie jest trafne moje stwierdzenie, iż przed objęciem władzy przez Hitlera w Urzędzie Spraw Zagranicznych Niemiec dominowało nastawienie tradycyjne i nie chciano tam myśleć o odprężeniu z Polską. Odpowiadając, chciałbym wskazać chociażby na Heinricha Brüninga, kanclerza Niemiec w latach 1930–1932. Otóż wytyczając zadania niemieckiej polityki zagranicznej, wskazywał on, że nadrzędnym celem jest odzyskanie przez Niemcy co najmniej pozycji z 1914 r. Poza wszelką wątpliwością stała dla niego sprawa utraconych w 1919 r. ziem na wschodzie. A nie do pomyślenia było, ażeby urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych działali inaczej, niż nakazywał im kanclerz (por. H. Grami, *Zwischen Stresemann und Hitler. Die Aussenpolitik der Präsidialkabinette Brüning, Papen und Schleicher*, München 2001, s. 41).

Jeśli chodzi o sugestie uzupełnień, to zgodzić się można z dr. Sławomirem Dębskim, że należało wymienić układ polsko-brytyjski z 25 sierpnia 1939 r. Inne uzupełnienia i rozszerzenia tekstu nie były możliwe przy tak zwięzłym wykładzie i limitowanej objętości rozdziału.

List od profesora Józefa Kukułki, 30 stycznia 2004 r.

Część powojenna *Historii dyplomacji polskiej X-XX w.* rzeczywiście wyprzedza badania monograficzne. Zmierzając do ujęcia syntetycznego o ograniczonej objętości, koncentruje się na aspektach instytucjonalno-normatywnych polskiej dyplomacji i nie rozwija jej aspektów funkcjonalnych. Była to jednak dyplomacja, a nie „coś zupełnie innego” (Borodziej). Spełniana przez nią funkcja wynikała ze służebnej roli wobec ówczesnej polityki zagranicznej. W tej części syntezy nie było więc potrzeby prezentowania ani „niechlubnej roli

Władysława Gomułki” (Tomaszewski), ani projektów federacyjnych Dymitrowa (Tomaszewski), ani roli Biura Politycznego (Borodziej), ani stosunków Warszawy z Moskwą i stolicami państw zachodnich (Borodziej). Synteza ta i ściśle rozumiany temat nie wymagał bowiem ukazywania historii dyplomacji „z punktu widzenia stosunków międzynarodowych” i działalności „obcych poselstw w Polsce” (Skowron). Poza ścisłe pojęcie dyplomacji wykraczałoby również omawianie kwestii konfliktu o Iran (Dębski) czy rzekomego sojuszu polsko-brytyjskiego do 1990 r. (Szumowski). Do rozważenia natomiast jest jakieś uwzględnienie działalności dyplomacji rządu emigracyjnego 1945–1990 oraz aktywności paryskiej „Kultury” (Szumowski).

Część z podniesionych przez dyskutantów kwestii będzie w szerszym kontekście uwzględniona w przygotowywanym właśnie VI tomie *Historii dyplomacji polskiej* na podstawie przebadania pełniejszych źródeł z archiwów polskich i obcych. Słuszne uwagi o potrzebie uwzględnienia różnych uwarunkowań instytucjonalizacji i funkcjonowania dyplomacji polskiej znajdują również wyraz w przygotowywanym tomie. Synteza obecna nie zasługuje na pozanaukowe określenia: „nonszalancja naukowa” (Ruchniewicz), „duże wątpliwości” i „przerażenie” (Skowron) czy „zażenowanie” (Szczur). Są to bowiem określenia wynikające z doraźnej i cenzorskiej postawy oraz braku chęci udostępnienia historii dyplomacji polskiej obcym czytelnikom. Publikacja w języku angielskim jest już potrzebna. W pełniejszym otwieraniu się Polski na świat powinna pomagać także polska humanistyka. Jednocześnie należy oczekiwać, że krytyka obecnego tomu przyczyni się do szybkiego przygotowania nowej syntezy historii dyplomacji polskiej.

List od profesorów Gerarda Labudy i Waldemara Michowicza, 1 lutego 2004 r.

Historia dyplomacji polskiej X-XX w. przedmiotem krytyki

Sprawy ogólne i pojęcia podstawowe

U podstaw użytego w tytule wyrazu „krytyka” tkwi etymologiczny grecki czasownik: *krinoo* w znaczeniu zarówno rozróżniać, jak i też sądzić, wyrokować, badać, wypowiadać sąd. W praktyce naukowej oznacza ona „sztukę myślenia, rozstrzygania”, a także „analizę oceniającą jakiś pogląd, działalność, książkę, utwór”, w potocznym rozumieniu „ocenę ujemną, wykazanie braków i niedociągnięć”¹. A zatem zanim wydamy o jakimś dziele sąd „krytyczny”, czyli ujemny, najpierw trzeba dokonać analizy wyrażonych w nim poglądów. Sztuka sądenia od czasów Immanuela Kanta obejmuje więc zarówno to, co w poglądach ma znaczenie pozytywne, jak też ujemne. W każdym czasopiśmie naukowym ważne miejsce zajmuje dział krytyki, w którym autorzy krytyki w wyniku wykonywanej analizy dzieła wydają o nim zarówno pozytywne, jak i negatywne opinie.

W zorganizowanej przez Redakcję „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego” dyskusji zaproszono do udziału w niej kilkanaście osób z kilku ośrodków naukowych, przeważnie z Warszawy, lecz także Krakowa, Katowic i Wrocławia. Zaproszono też nas, redaktorów książki. Z obiektywnych, losowych powodów żaden z nas nie mógł przybyć na to spotkanie. Zapoznawszy się ze starannie sporządzoną „transkrypcją dyskusji

¹ Zob. Z. Węclewski, *Słownik grecko-polski*, Lwów 1929, s. 418; H. Fresk, *Griechisches etymologisches Wörterbuch*, t. II, Heidelberg 1973, s. 20-21, a także *Słownik wyrazów obcych*, Warszawa 1965, s. 376-377; *Słownik terminów literackich*, pod red. J. Sławińskiego, Wrocław 1976, s. 205-206.

redakcyjnej”, dochodzimy do wniosku, że poza paroma ogólnikowymi pozytywnymi ocenami dzieła, przeważają oceny nie tylko ujemne, lecz nawet odmawiające mu walorów pracy naukowej. W tym wypadku musi więc zastanawiać, że do udziału w dyskusji nie zaproszono wszystkich innych (poza nami) autorów poszczególnych rozdziałów omawianego dzieła. Nie zapewniono zatem obowiązującej w każdym sądzie zasady: *audiatur et altera pars*. Nie dziwimy się więc, że przewodniczący tej dyskusji dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i redaktor naczelny „Przeglądu”, Ryszard Stemplowski, doszedł do pesymistycznego wniosku, że omawiana *Historia dyplomacji polskiej X–XX w.* „oddaje stan wiedzy na ogół sprzed kilkunastu lat” i wyraża nadzieję, że przeprowadzona krytyka przyczyni się do „stworzenia dzieła pełniejszego z udziałem nowego pokolenia historyków”.

Z uznaniem więc witamy inicjatywę Redakcji „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego”, aby przed ogłoszeniem *in extenso* transkrypcji dyskusji umożliwić zarówno redaktorom, jak też tym razem także autorom poszczególnych rozdziałów ustosunkowanie się do wypowiedzianych podczas niej osądów i ocen, a także niektórych propozycji potencjalnych autorów nowej syntezy.

Przechodząc po tych uwagach ogólnych do spraw konkretnych, najpierw należy wyjaśnić stosunek między pięciotomową syntezą analityczną *Historii dyplomacji polskiej* (w dalszym ciągu będziemy się posługiwali kryptogramem: HDP) a syntezą przeglądową *Historii dyplomacji polskiej X–XX w.* (w dalszym ciągu będziemy analogicznie posługiwali się skrótem: „hdp”). Pomysł opracowania tej drugiej powstał z okazji prezentowania tomu IV HDP w 1995 r. jako podstawy wyjściowej do przygotowywanej dla czytelników zagranicznych wersji angielskiej. Uzyskany grant na zrealizowanie tego projektu wymagał opublikowania jej przedtem w wersji polskiej, co w toku kilkuletnich zabiegów napotkało, zwłaszcza dla okresu po 1945 r. (tom V HDP ukazał się dopiero w 1999 r., a tom VI jest w toku opracowania) znaczne trudności.

Kilku dyskutantów stwierdziło, że autorzy poszczególnych rozdziałów „hdp” dokonywali streszczeń, niekiedy nawet dosłownie przepisywali tekst z HDP, nadając temu postępowaniu ujemne znaczenie. Profesor Szczur w swoim wystąpieniu zauważył: „Dziewięćdziesiąt kilka stron na połowę dziejów dyplomacji od X do XV wieku, z zastrzeżeniem, że nie wiemy, co to jest dyplomacja, a później im bliżej czasów współczesnych, tym to rośnie”. Ci z czytelników, którym obce jest to pojęcie (przy czym nie sądzimy, aby mankament takiej niewiedzy odnosił interlokutor do siebie), łatwo zaspokoją swoje wątpliwości, sięgając do odpowiedniego słownika wyrazów obcych, w którym pod powyższym hasłem dowiedzą się, że: „Dyplomacja, 1. czynna, pokojowa (w odróżnieniu od wojennej) działalność organów państwowych (głowy państwa, szefa rządu, ministra spraw zagranicznych oraz przedstawicieli dyplomatycznych za granicą), dotycząca zewnętrznej polityki państwa, 2. sztuka właściwego prowadzenia i utrzymywania stosunków między państwami, 3. ogół osób zajmujących się utrzymywaniem tych stosunków”².

W tomie I HDP (s. 9–20) zagadnienie to zostało obszernie omówione i z tego omówienia wysnuty wniosek, że z kilku realizowanych dotąd założeń teoretycznych, i wynikających z nich założeń metodologicznych, najlepiej celom badawczym na tym etapie stanu badań będzie służyła koncepcja instytucjonalnego przedstawienia historii dziejów dyplomacji państwa polskiego od chwili powstania tego państwa aż po dzień dzisiejszy, najpierw pełnionej przez monarchę, a następnie przez zespoły osób powołanych do tych czynności aż do wytworzenia się instytucji ministerstwa spraw zagranicznych. W odpowiednim skrócie takie ujęcie zagadnienia zostało ponownie przedstawione we wstępie do „hdp” (s. 5–7). Oba dzieła mają więc jasno określoną busolę metodologiczną, zgodnie z którą, według obowiązujących w nauce historii metod dziejopisarskich, zostały opracowane.

² *Słownik wyrazów obcych, op.cit., s. 167.*

Oczywiste jest, że obie syntezy są od siebie zależne, choć za każdym razem wymagały one odrębnego autorskiego podejścia. HDP była dziełem całkowicie pionierskim; nazwaliśmy je syntezą analityczną w przeciwieństwie do „hdp” jako syntezy przeglądowej. Ta pierwsza powstała więc trójstopniowo, poczynając od ustalenia „faktów źródłowych”, na podstawie których tworzyła się sieć „faktów historycznych”, obejmujących cały dostępny w źródłach zasób faktografii. Po ustaleniu stopnia jej wiarygodności umożliwia się innym badaczom kontrolę jej przydatności w etapie końcowym tworzenia „faktów historiograficznych”, których autor przekazuje odbiorcy własne poglądy na odtworzoną przez siebie rzeczywistość dziejową. Ich wartość poznawcza jest względna i może wzbudzać wątpliwości. Poglądy te w HDP zostały jednak przez autorów udokumentowane przez odwoływanie się bezpośrednio do źródeł lub do komentującej i interpretującej je literatury przedmiotu.

Takiej możliwości przedstawienia swoich poglądów (tj. faktów historiograficznych) nie mieli autorzy małej syntezy. W żadnym jednak wypadku nie można ich wykładu określać mianem „streszczenia”, gdyż „hdp” jest tylko i wyłącznie skróconą wersją syntezy analitycznej. Nie jest też ona ani „podręcznikiem”, ani też „przewodnikiem” (jakby ją niektórzy dyskutanci chcieli nazwać). Nie można też od niej wymagać, co także pojawiło się jako postulat w dyskusji, aby objaśniała ona takie pojęcie podstawowe jak państwo, gdyż od czasów Platona i Arystotelesa było ono przedmiotem tylu analiz i tylu podręcznikowych opracowań³, że każdy zwykły czytelnik łatwo się zorientuje, z jakim państwem w ciągu dziejów winien kojarzyć realizowaną przez nie dyplomację.

³ Objasnienia tego rodzaju pojęć należy szukać w literaturze prawno-historycznej, jak *Historia państwa i prawa*, i w encyklopediach prawa. Systematycznie zagadnienie to analizował Józef Matuszewski, *O państwie i prawie*, „Czasopismo Prawno-Historyczne”, 10 (1958), s. 77-104.

Sumując, każdy krytyk w pełnym tego słowa znaczeniu, a więc obiektywnie nastawiony do krytykowanego dzieła, winien podczas dyskusji mieć świadomość związku autorskiego między tymi pojęciami. Z przebiegu dyskusji widać, że HDP była w niej wielką nieobecną. Jedynie Andrzej Magierski, dyrektor Wydawnictwa Sejmowego, zwrócił na ten związek uwagę. Równocześnie zdajemy sobie sprawę, że mała synteza jest dziełem całkiem odrębnym i w tej postaci wymagającym osądzenia, czy dobrze spełnia swój cel, dla którego została opracowana. Każda krytyczna ocena prowadząca do jej ulepszenia zostanie przyjęta z wdzięcznością. Wersja angielska ciągle jest w stadium przygotowania, zwłaszcza w odniesieniu do czasów objętych tomem VI HDP.

Kończąc te uwagi o stosunku między HDP i „hdp”, trzeba dostrzec fakt podstawowy. Ta pierwsza synteza udokumentowała, że Polska miała od zarania swoich dziejów stosowną dla każdego czasu i przestrzeni dyplomację. Ze względu na swoje rozmiary i szczegółowość faktografii spotkała się na ogół z pozytywnym przyjęciem i odzewem wśród zawodowych historyków. Omawiana „hdp” ukazała w syntetycznym przeglądzie dzieje polskiej dyplomacji od monarchii (960–1138), poprzez poliarchię (1138–1295/1306) – okres upadku konstruktywnej dyplomacji i największych wynaturzeń – do jej odrodzenia w czasie schyłkowej monarchii piastowskiej i jagiellońskiej (1295–1572), i do ponownej jej degradacji aż do dna anarchii zakończonej upadkiem państwa (1572–1795), następnie jej odradzanie poprzez instytucje zastępcze narodu (prawdziwe odkrycie badawcze), uwieńczone odzyskaniem niepodległości (1795–1918), aż do wrót współczesności i terażniejszości. W tej postaci może się ona przyczynić do podniesienia kultury politycznej rządzących i rządzonych, gdyby tylko chcieli korzystać z doświadczeń przez nią przekazanych. Tymczasem zdaniem uczestników omawianej dyskusji nie spełnia ona kryteriów upoważniających ją do tej roli ani w odniesieniu do odbiorcy krajowego, ani też zagranicznego. Według drastycznego określenia w toku dyskusji jest to tylko „kupka śmiechu”.

Przejdźmy zatem do krytyki (we właściwym tego słowa znaczeniu) zasadności takiej jej kwalifikacji.

Audiatur et altera pars **- należy wysłuchać drugiej strony**

Z istoty rzeczy głos najbardziej kompetentny należy do autorów poszczególnych rozdziałów (zabierzemy się wszyscy do tego zadania w stosownym miejscu). Tutaj zajmiemy się tylko generaliami. I tak, idąc po kolei, z uznaniem odnosimy się do słów zagajenia dyskusji Ryszarda Stemplowskiego, że „książka jest pracą pionierską, a w historiografii światowej – bardzo rzadką, wobec tego ustosunkowanie się do niej jest szczególnym obowiązkiem Instytutu”. Pytanie, czy uczestniczący w tej dyskusji krytycy przekazali Instytutowi wyważoną naukowo opinię o tej książce?

Jerzy Tomaszewski zakwestionował proporcje, jakie wystąpiły między poszczególnymi rozdziałami i okresami kosztem dziejów nowszych, zwłaszcza kosztem XX w. Pięciotomowa synteza pochłonęła ponad 4200 stron. Autorzy poszczególnych rozdziałów otrzymali do swej dyspozycji 20% ich objętości jako postulat. Sprawą otwartą był limit dla okresu 1944–1989 i dla ostatniego dziesięciolecia. Autor okresu 1944–1989, Józef Kukułka, równocześnie autor wielkiej syntezy *Historia współczesna stosunków międzynarodowych 1945–1994* (Warszawa 1994), przedstawił powierzone sobie zadanie na 59 stronach, natomiast próby uzyskania zadowalającego tekstu dla ostatniego dziesięciolecia skończyły się niepowodzeniem. W sumie niektórzy autorzy nie wykorzystali limitu, inni nieco go przekroczyli. Teksty przekazane do przekładu uległy zarówno uzupełnieniu, jak i nieraz ponownemu skróceniu. Opracowanie kresu po 1989 r. jest dopiero *in statu nascendi*; w tym wypadku Redaktorzy zostawiają sprawę objętości uznaniu autorów. W sumie, nie wydaje się, aby wystąpiła rażąca dysproporcja między poszczególnymi okresami: autorzy wykazali w tej sprawie rozsądny umiar.

Od tego miejsca dyskutanci skupili się głównie już to nad niedostatkami informacji, już to nad nadmiarem informacji w „hdp”. Rzecz polega na tym, że już na etapie przekształcania „faktów historycznych” na „faktografię historyczną” w syntezie analitycznej historyk staje przed koniecznością zastosowania przysłowiowej „brzytwy Ockhama”, czyli dokonania selekcji tych pierwszych i uznania za właściwe dla odtworzenia przeszłości tylko takich, które odpowiadają jego wizji dziejów, kierując się nieraz przy tym już to własnym narracyjnym „widzimiś”, już to poważniejszymi przesłankami wynikającymi z przyjętych założeń konstrukcyjnych i metodologicznych. Ta konieczność stosowania jeszcze większej „selekcji faktów” dotknęła z istoty rzeczy przeglądowej „hdp”. Toteż przechodząc do analizy dostrzeżonych niedostatków informacyjnych, zatrzymamy się przy tych, które dotyczą „generaliów”, zostawiając wyjaśnienie szczegółów zainteresowanym autorom rozdziałów, jako bardziej do tego uprawnionym i kompetentnym.

I tak profesor Henryk Samsonowicz zwrócił uwagę na pominięcie działalności państwa w dziedzinie gospodarki i kultury. Postulat słuszny, lecz trudny do zrealizowania w odniesieniu do średniowiecza, zauważony przez autorów dyplomacji czasów późniejszych, ale wymagający dopracowania. Zaczątki dyplomacji dotyczącej promowania stosunków handlowych z Hanzą miast nadbałtyckich, głównie Lubeką, pojawiły się w XIII w. incydentalnie w Gdańsku, ale inicjatywa w tej dziedzinie należała raczej do hanzeatów. Po roku 1309 państwo polskie zostało odcięte od Bałtyku; wróciło tam dopiero w drugiej połowie XVI w. I wtedy pojawiły się na mapie tego kierunku działalności politycznej i dyplomatycznej zarówno Gdańsk, Toruń, Elbląg, a także Norymberga, jak i Kaffa i Odessa, a wyraziściej tylko w odnośnych rozdziałach HDP⁴. Można byłoby zauważyć, że postulat uwzględnienia problematyki gospodarczej jest szczególnie

⁴ Zob. HDP, t. I-II, według indeksu.

zasadny w odniesieniu do okresu po II wojnie światowej, kiedy podstawowe gałęzie gospodarki narodowej zostały upaństwowione, a rząd polski przez kilkadziesiąt lat występował jako stały petent wobec ZSRR i mocarstw zachodnich starający się o pożyczki, redukcję długów itp. Wszelako dopóty, dopóki nie powstaną opracowania monograficzne dotyczące rzeczowych relacji między MSZ a MHZ oraz Komitetem Współpracy Gospodarczej i Naukowo-Technicznej z Zagranicą (i ich agendami), postulatu tego nie będzie można spełnić w sposób zadowalający.

Podobna sytuacja zachodzi w odniesieniu do propozycji wprowadzenia do „hdp” tematyki z zakresu kultury. Przykładu temu V HDP, gdzie podjęto próbę objęcia wykładem także zagadnień kulturalnych, co napotkało poważne trudności. Z pewnością jednak należało bardziej wyeksponować zabiegi koło utworzenia Uniwersytetu w Krakowie w 1364 r.⁵ Dla omówienia innych szczegółowych spostrzeżeń bardziej właściwie będzie miejsce w dziale wypowiedzi autorskich.

Z kolei czego jest za dużo. Nie tylko Henryk Samsonowicz, lecz także inni dyskutanci zauważają, że w „hdp” jest za dużo historii politycznej Polski lub łagodniej „historii polityki zagranicznej państwa”, czyli z kolei inaczej mówiąc, za mało „historii dyplomacji”. Takie zachwianie proporcji wynika z pionierskiego charakteru HDP i konsekwentnie „hdp”. Najpierw, dotyczy to zwłaszcza średniowiecza, należało zarysować tło działań dyplomatycznych, a następnie wyłuskiwać z ubogiej często bazy źródłowej wynikającej z tej polityki działania dyplomacji, najpierw monarszej, Kościoła, a już w czasach nowożytnych coraz bardziej parlamentarnych instytucji. Kontynuatorzy naszego dzieła otrzymają już pole przygotowane do dalszej uprawy.

Od trzech poprzednich głosów, zawierających godne rozpatrzenia sugestie, odbiega „krytyczna” (zob. wyżej

⁵ Zob. „hdp”, s. 60; zagadnienie to ma swoją bogatą literaturę, której omówienie zajęłoby tu zbyt dużo miejsca.

semantyczne objaśnienie tego przymiotnika) zarówno w swej formie, jak i treści wypowiedź profesora Stanisława Szczura.

Najpierw czytelnik dowiaduje się, że „dziewięćdziesiąt kilka stron [przypada] na połowę dziejów dyplomacji od X do XV wieku, z zastrzeżeniem, że nie wiemy, co to jest dyplomacja, a później im bliżej czasów współczesnych, tym to rośnie”. Następnie „do 1370 roku jest tam stan wiedzy gdzieś tak z 1960 roku” (w innych miejscach 1970 lub 1980 r.). Dalej, to nie jest „historia dyplomacji, to jest historia polityczna Polski napisana z polskiego punktu widzenia”. W dalszym ciągu dyskutant przekonuje, że „w przypadku XIV wieku cała ta partia [...] jest, mówię to z całą odpowiedzialnością, jednym wielkim kuriozum”. Zdaniem krytyka „swoistym kuriozum” jest „sprowadzać w czternasto- czy trzynastowiecznych realiach stosunków z Papiestwem do normalnych stosunków międzypaństwowych”, gdyż „ani państwo polskie ani żadne inne nie było partnerem dyplomatycznym dla papieża. Było petentem” i stosunki takich krajów jak Polska „w całym średniowieczu były na bardzo niskim poziomie”. Zdaniem mówcy jednostronicowe charakterystyki organizacji służb dyplomatycznych są tylko „kwiatkami”. W jego przekonaniu całe średniowiecze „bardzo, ale to bardzo się nie udało”, bo autor traktuje „średniowieczne państwo polskie [...] w dzisiejszych granicach”, włącznie ze Śląskiem i Pomorzem.

W toku swej dodatkowej wypowiedzi Jerzy Tomaszewski zwraca uwagę na rozdział „Tworzenie się systemów państw narodowych i ich rozwój we wczesnym średniowieczu (VI–X w.)” i obaj krytycy zgodnie stwierdzają, że nie wiedzą, „co to jest państwo narodowe”. Wreszcie dowiadujemy się, że pięciotomowa HDP „budziła zażenowanie, te tomy budziły zażenowanie”.

Tutaj zajmiemy się tylko trzema kwestiami: a) rozdziały o średniowieczu oddają stan badań sprzed 20–30 lat, a nawet 40 lat, następnie, b) istnienie państw narodowych w średniowieczu oraz, c) stosunki tych państw z Papiestwem.

Nie uważamy za celowe rozpatrywanie podsumowania, że pięciotomowa HDP „budzi zażenowanie”. *No comments!* Z kwestii pierwszej, gdyby ją potraktować dosłownie, здаwałoby się wynikać, że co najmniej od roku 1980 w historiografii polskiej nastąpił przewrót, który postawił pod znakiem zapytania wszystko, co dotąd na ten temat w odniesieniu do średniowiecza napisano. Zarys dziejów dyplomacji lat: 960–1306 jest oparty na badaniach autora, który sam w nich aktywnie uczestniczył. Profesorowi Szczurowi się nie podobają; o to nie można mieć pretensji. Jest to tak ubogi w źródła okres historii Polski, że podlega on stałej interpretacji i reinterpretacji, co nie musi prowadzić do rzucania anatemy na inaczej myślących; zakwestionowane przez niego fakty zostaną rozpatrzone w dziale odautorskim.

Można tylko wyrazić zdumienie, że krytyk nie wie, „co to jest państwo narodowe w średniowieczu”. Fakt istnienia tych państw w okresie pełnego średniowiecza nie wzbudza wśród kompetentnych badaczy zastrzeżeń; istnieje na ten temat rozległa literatura⁶. Obaj krytycy nieuważnie przeczytali tytuł podrozdziału, który zwraca uwagę na „tworzenie”, a nie na „wytworzenie się” takiego systemu. Jest oczywiste, że kiedyś musiały się one zacząć kształtować. Zagadnieniu temu znakomitą pracę poświęcił Benedykt Zientara, *Świt narodów europejskich*; jego ustalenia znalazły pełne uznanie krytyki⁷. Badania nad genezą i rozwojem średniowiecznych państw

⁶ Zob. HDP, t. I, s. 64; zob. też G. Labuda, *Przyszłość państw narodowych i nacjonalizmów w jednoczącej się Europie*, [w:] *Europa w Polsce, Polska w Europie*, praca zbior. pod red. M. Kosmana i B. Koszela, Poznań 2003, s. 12 i n. (tutaj nowsza literatura).

⁷ B. Zientara, *Świt narodów europejskich. Powstanie świadomości narodowej na obszarze Europy pokarolińskiej*, Warszawa 1985 (książka ta jest znana Stanisławowi Szczurowi). Proces narodotwórczy już w X wieku z chwilą ukonstytuowania się pierwszych państw słowiańskich na wschód od Łaby zaczął się rozwijać i umacniać w ich zasięgu. Zob. G. Labuda, *Od nacjonizmu do nacjonalizmu. Z rozważań nad tworzeniem się świadomości narodowej*, [w:] *Pomorze – trudna Ojczyzna?*, praca zbior. pod red. A. Saksona, Poznań 1996, s. 9–22 (tutaj też wybór lektury przedmiotu).

narodowych są nadal kontynuowane; wnikliwe studia nad nimi prowadził František Graus i wielu innych⁸. Nie wypada się więc mediewiście przyznawać, że nie wie, co to są państwa narodowe.

Wreszcie stosunki między Papiestwem i państwami wczesnośredniowiecznymi i średniowiecznymi. Zdaniem mówcy były one tylko „petentami” w stosunkach ze Stolicą Apostolską. Zagadnienie tych stosunków znowu stało się przedmiotem wszechstronnych dociekań badawczych, w Polsce zwłaszcza Jana Baszkiewicza⁹. Otóż „petentem” były one tylko w sprawach kościelnych, zwłaszcza przy zakładaniu metropolitalnej organizacji Kościoła. Łatwo się o tym przekonać, zapoznając się z dziejami arcybiskupstwa magdeburskiego i gnieźnieńskiego, które zwłaszcza w odniesieniu do tego ostatniego wywołały szeroką dyskusję¹⁰. Inaczej układały się te stosunki na płaszczyźnie politycznej i prawno-politycznej, jak tego dowodzą przede wszystkim dzieje „państwa kościelnego” papieży. Nie kto inny, jak Papiestwo w swoim trwałym konflikcie z Cesarstwem lub sprzecznością interesów z Cesarstwem przyczyniło się w niemałym stopniu do wytworzenia się systemu suwerennych w rozumieniu tamtych czasów państw narodowych¹¹. Doświadczyła tego również Polska, otrzymując

⁸ F. Graus, *Die Nationenbildung der Westslawen im Mittelalter*, w serii „Nationes”, t. II, Sigmaringen 1980. W szerszym ujęciu: *Aspekte der Nationenbildung im Mittelalter*, pod red. H. Beumanna i W. Schrödera, w serii „Nationes”, t. I, Sigmaringen 1978.

⁹ Dla rozpoznania tego zagadnienia podstawowe znaczenie mają prace Jana Baszkiewicza; ich wykaz i omówienie w książce: J. Baszkiewicz, *Myśl polityczna wieków średnich*, Poznań 1998.

¹⁰ Podsumowanie tych badań: G. Labuda, *O badaniach nad zjazdem gnieźnieńskim roku 1000*, „Roczniki Historyczne”, 68 (2002), s. 195–209.

¹¹ Zob. K. Bierkach, *Kurie und nationale Staaten im frühen Mittelalter, bis 1245*, Dresden 1938; zob. też W. Ullmann, *Die Machstellung des Papsttums*, Graz–Wien–Köln 1960, a także J. Baszkiewicz, *Państwo suwerenne w feudalnej doktrynie politycznej do początków XIV w.*, Warszawa 1964.

koronę królewską z namaszczenia papieży. Trzeba także zauważyć (choć to teraz przez niektórych badaczy stosunków polsko-krzyżackich znowu zostanie odpowiednio skomentowane), to nie kto inny, jak Papiestwo przyczyniło się do powstania państwa krzyżackiego w Prusach, a Cesarstwo odegrało w tej sprawie tylko rolę pomocniczą¹².

Istniał partnerski stosunek między Papiestwem i Polską, co wyraźnie widać na przykładzie dziejów XIV w.; istnieje więc pełna podstawa, aby mówić o dyplomacji w stosunkach Polski z Papiestwem; w szczególności nie widać żadnego uzasadnienia dla obniżania rangi tych stosunków. W nauce historii, bardziej niż gdziekolwiek indziej winna obowiązywać zasada *suum cuique* – każdemu to, co mu się należy.

I znowu Jerzy Tomaszewski, wybitny znawca dziejów XX w., kwestionuje zdanie, że „podbój czeski wyeliminował na dłuższy czas Polskę południową z rodzimych procesów państwowotwórczych”, powołując się na autorytet Józefa Chlebowczyka, wybitnego znawcy procesów narodotwórczych XIX w., że „przecież Ślązacy w tamtych czasach nie mogą być nazywani Polakami”. Krytyk ma wyraźne trudności ze zrozumieniem, iż co innego oznaczają procesy państwowotwórcze, czyli integrowanie poszczególnych plemion w granicach jednego państwa i odróżnieniem ich od „procesów narodotwórczych”, także pojęcie geograficzno-polityczne (nie mylić z geograficzno-historycznym): „Polska południowa”, redukując je do dzielnicy Śląsk. We wskazanym miejscu, mówi się, że w „pierwszej połowie X stulecia plemiona śląskie i wiślańsko-łędziańskie zostały podbite przez lepiej i wcześniej zorganizowane państwo czeskie ze stolicą w Pradze” („hdp”, s. 13), a więc tereny sięgające na zachodzie po Nysę Łużycką, a na wschodzie aż do Bugu (taki jest obecnie „stan badań” w odniesieniu do Łędzian). W roku 981 macecznik plemienia Łędzian, tzw. Grody Czerwieńskie, zostały zajęte

¹² Zob. T. Jasiński, *Złota bulla Fryderyka II dla Zakonu Krzyżackiego roku rzekomo 1226*, „Roczniki Historyczne”, 60 (1994), s. 107–154.

przez księcia kijowskiego Włodzimierza, ale ziemia krakowska i sandomierska najpierw, a potem w 990 r. Śląsk zostały włączone do ówczesnego „państwa gnieźnieńskiego” Polan. W tym czasie już w użyciu były nazwy: Polanie i Polska, a w 1000 r. wszystkie ziemie należące do wspomnianego wyżej państwa zostały objęte granicami metropolii gnieźnieńskiej. Niepotrzebnie więc co niektórzy krytycy kwestionują istnienie państwa polskiego od Szczecina, tj. Odry dolnej, aż po Bug. Z chwilą ogarnięcia Śląska i Pomorza przez tę organizację metropolitarną zaczęły wszystkie te plemiona w jej granicach uczestniczyć w „procesach narodotwórczych”, na Pomorzu do schyłku XII w., a na Śląsku ze zmiennym powodzeniem po dzień dzisiejszy, jak słusznie wykazał Józef Chlebowczyk. Żaden z językoznawców zwłaszcza dialektologów, nie zaliczy gwar śląskich do dialektów czesko-morawskich¹³.

Część uwag Jerzego Tomaszewskiego, dotyczących XX w., przyjmujemy z uznaniem i w miarę możliwości we właściwym miejscu zostaną one uwzględnione. Zauważmy jednak tutaj, że zakwestionowany przez niego tekst dotyczący zatargu polsko-czechosłowackiego z 1919 r. o Śląsk Cieszyński („hdp”, s. 464) jest w pełni zgodny z najnowszymi ustaleniami polskiej historiografii¹⁴. Uwaga profesora Tomaszewskiego o roli ówczesnego posła RP w Pradze, Stefana Wierbłowskiego, w sporze o granicę południową Polski w 1945 r. jest cenna, ale należy rozpatrywać ją w szerszym kontekście. Wówczas nie chodziło jedynie o problem Zaolzia oraz rejonów Raciborza, Głubszyc i Kotliny Kłodzkiej. Wyniki badań

¹³ Podstawowa analiza wyjściowa: W. Taszycki, *Język polski na Śląsku w wiekach średnich*, [w:] *Historia Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400*, t. I, Kraków 1939, s. 72–88, oraz S. Urbańczyk, *Zarys dialektologii polskiej*, Warszawa 1962; w aspekcie historyczno-lingwistycznym: J. Nalepa, *Granice Polski najdawniejszej*, Prolegomena, Kraków 1996 (tutaj obszerna literatura przedmiotu).

¹⁴ Por. M.K. Kamiński, *Konflikt polsko-czeski 1918–1921*, Warszawa 2001, s. 9 i n.

profesora Wojciecha Materskiego, prowadzone dla potrzeb tomu VI HDP, wskazują, że w maju 1945 r. Czechosłowacja domagała się przekazania jej także Koźła, całego wałbrzyskiego zagłębia węglowego, strefy sudeckiej z kopalniami uranu, arsenu, złota, fabrykami ceramiki i szkła, sanatoriami oraz szeregiem elektrowni. Problem ziemi kłodzkiej został umiędzynarodowiony przez stronę czechosłowacką i był przedmiotem obszernej wymiany poglądów z przedstawicielami wielkich mocarstw. Ze swych postulatów odnośnie do rewizji ustalonych w Poczdamie granic na Dolnym Śląsku Czechosłowacja zrezygnowała ostatecznie dopiero w marcu 1947 r.

Nie dość uważnie czytał profesor Tomaszewski część dotyczącą II wojny światowej, skoro stwierdza, że zabrakło tam „informacji o rozmowach konfederacyjnych między emigracyjnymi rządami polskim oraz czechosłowackim”. W rzeczywistości sprawa ta została omówiona w oddzielnym podrozdziale, poświęconym w całości temu zagadnieniu, na s. 526–528.

Ryszard Skowron zauważa, że załączona bibliografia selektywna „nie ma żadnych kryteriów”. Owszem ma, została sporządzona w wyborze na podstawie prac cytowanych w HDP, gdzie m.in. w tomie II (s. 158–160) są omówione prace Szelaǳowskiego z lat 1904–1905. Studenci i młodszy pracownicy naukowcy rozporządzają teraz trzypięciotomową *Bibliografią selektywną* dla całej historii Polski, a także, zajmując się dyplomacją, winni we wszystkich sprawach wymagających poszerzenia horyzontu badawczego sięgać do HDP. A mała „hdp” jest, jeszcze raz przypominamy, „skróconą wersją” tej wielkiej, a nie jej streszczeniem.

Profesor Skowron ma poważne osiągnięcia badawcze w rozpoznaniu stosunków polsko-hispańskich XVI w. Gdyby kiedykolwiek doszło do wznowienia HDP, to tam jego badania zostałyby w pełni uwzględnione, a z całą pewnością – w przyszłych syntezach, o których słusznie już w tej chwili się mówi. Natomiast w przygotowywanej wersji angielskiej mogą one znaleźć miejsce w stosownej proporcji. On sam

opowiada się za syntezą „dziejów dyplomacji polskiej z punktu widzenia stosunków międzynarodowych”. Wzorową syntezę opracowaną z tego punktu widzenia zawdzięczamy historykom francuskim, ale z tych doświadczeń wynika jasno, że będzie to historia stosunków międzynarodowych Polski, w której sama dyplomacja zostanie sprowadzona do roli służebnej, gdyż na pierwsze miejsce zostanie z istoty rzeczy wysunięta historia polityczna Polski¹⁵. O takiej koncepcji będzie można dyskutować, gdy się znajdzie ktoś, kto przedstawi jej teoretyczne i metodologiczne założenia. W każdym razie sugestie profesora Skowrona przyjmujemy jako ważne wzbogacenie płonu dyskusyjnego omawianej narady. Dodajmy jednak, że zarówno HDP, jak i jej skrócona wersja wydarzeniom międzynarodowym, determinującym polską politykę zagraniczną, poświęciły sporo miejsca, w zależności od warunków i wydarzeń rekonstruowanych epok.

Do takich ważnych i cennych głosów zaliczmy też uwagi krytyczne (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) Włodzimierza Borodzieja. Ale dopiero po opracowaniu sześciotomowej HDP możemy z uzasadnieniem mówić, że „dyplomacja dyplomacji nierówna, czym innym jest w średniowieczu, czym innym w wieku XX”, a przede wszystkim, o czym głównie należy w tym kontekście pamiętać – dyplomacja polska XIX i początków XX w. Razem z mówcą podzielamy pogląd, że największe trudności sprawia opracowanie historii dyplomacji „w okresie klasycznego stalinizmu”. Nie można się natomiast zgodzić z poglądem, że dla tego okresu należy zrezygnować z wyrazu „dyplomacja”. Skoro istniało wówczas państwo polskie, uznawane przez państwa należące do ONZ, to miało ono swoją dyplomację, jaka w tamtych czasach

¹⁵ Zob. *Histoire des relations internationales*, pod red. P. Renouvina, t. I–VIII, Paris 1953 i n.; w tej serii: F.L. Ganshof, *Le Moyen Age*, Paris 1953. Opracowanie takiej syntezy wymaga uprzednio omówienia teoretycznych i metodologicznych jej założeń; Polski Instytut Spraw Międzynarodowych jest jak najbardziej powołany do zapoczątkowania takiej dyskusji.

była możliwa, a o jej istnieniu świadczy fakt zasadniczy, że już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych zaczynała się ona szybko przekształcać w efektywną dyplomację, o czym świadczą przede wszystkim jej osiągnięcia w uznaniu polskiej granicy zachodniej, i to nie tylko przez RFN, lecz także przez NRD, skoro jej ostateczne uznanie przez zjednoczone Niemcy odwoływało się zarówno do układów z 1950 r., jak i z 1970 r. Niepotrzebnie więc Włodzimierz Borodziej powtarza raz jeszcze, że „dyplomacja PRL w okresie klasycznego stalinizmu jest po prostu czymś innym niż przedtem”, gdyż nie widać nikogo, kto by temu zaprzeczał. Nie czyni tego też autor odnośnego rozdziału, który wziął na swoje barki i na swoją odpowiedzialność opracowanie dziejów dyplomacji polskiej w latach 1944–1989. Nie należy z hukiem wyważać drzwi, które już są otwarte. Czyżby Profesor wątpił, że autor tej części „hdp”, badacz stosunków międzynarodowych o bogatym dorobku naukowym, historyk i politolog, w młodości dyplomata na placówce w Paryżu, a w latach 1985–1998 wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, nie rozumiał uwarunkowań i realiów opisywanej przez siebie epoki?

Podzielamy natomiast w pełni troskę profesora Borodzieja, że ten okres historii polskiej dyplomacji będzie „dzieckiem troski”, wspólnym dla wszystkich, którzy wzięli na siebie zadanie naukowe opracowania tego okresu. Możemy tylko wezwać wszystkich, którzy dysponują dostatecznym przygotowaniem badawczym, aby włączyli się do twórczej, pozabawionej emocji dyskusji nad tym tomem.

Krzysztof Ruchniewicz, który już kilku poważnymi opracowaniami włączył się do tej pracy, dopomina się o inny obraz opracowania dyplomacji polskiej w latach 1944–1989. Rysuje się więc początek twórczej dyskusji nad tym okresem, czemu można tylko przyklasnąć. Zgadza się z nim, że autor tego opracowania wykonał „pracę pionierską”, i że zapewne tom VI HDP dostarczy zainteresowanym pełniejszą faktografię jako podstawę dla przyszłej syntezy. Jest to

bowiem także w pełni praca pionierska. Wymaga ona jednak od uczestników takiej dyskusji podejścia „krytycznego” w pozytywnym tego słowa znaczeniu, to znaczy: *svaviter in modo* i *fortiter in re*.

Przykładem takiej konstruktywnej krytyki jest głos Wojciecha Rojka, który nie szczędząc zastrzeżeń, równoważył je pozycjami, które gdyby były redaktorom i autorom wcześniej udostępnione, mogłyby być rozpatrzone i, jeśli zainteresowani autorzy uznałyby je za słuszne, uwzględnione w znajdującej się ciągle w trakcie dopracowywania „hdp”. Zajmiemy się jednak najpierw zastrzeżeniami. Przyłącza się on do opinii, że „hdp” jest tylko streszczeniem HDP i że raczej, mając na uwadze dokonane przemiany polityczne i ideologiczne w naszym kraju, należało zaniechać zaproszenia do jej opracowania tych, „którzy już przed laty [...] wypowiedali się na piśmie w tej materii”. Trzeba dodać, że ten punkt widzenia znalazł od razu oddźwięk w jeszcze bardziej drastycznej formie, mianowicie iż „jest nonszalancją naukową, że powierza się pracę uznanym tuzom naukowym, kiedy wiadomo, że pisali w minionej epoce” (K. Ruchniewicz). Wyjaśniamy, że nikt nikomu niczego nie powierzał, gdyż jak już poprzednio się o tym mówiło, z inicjatywą tą wystąpiono przygodnie z uzasadnieniem, że *Polonica non legatur* (prac pisanych po polsku się nie czyta). W naszym rozumieniu, jako redaktorów HDP, było rzeczą naturalną, że wykonanie tego zadania „powierzyliśmy” autorom, którzy w omawianych pięciu tomach wydobyli z niebytu polską dyplomację i w skróconej wersji (powtarzamy jeszcze raz, a nie w streszczeniu) przekazali ją do publikacji jako podstawę do wersji angielskiej. Wypada w tym miejscu zapytać, gdzie jest to grono nowych „tuzów naukowych”, którzy w 1995 roku mogliby się podjąć tego zadania?

Profesor Rojek w pełni zgodził się z poczynionymi przez profesora Szczura spostrzeżeniami o roli Krzyżaków w trwającym 150 lat okresie dziejów Polski (przypomnijmy: „dla profesora Labudy największym nieszczęściem są Krzyżacy”,

gdyby itd. „z perspektywy tysiąca lat, to Krzyżacy, to ile, 150 lat raptem, tak prawdę powiedziawszy”). Mamy tu typowy przykład poglądu historiograficznego badacza, który ujmując synoptycznie dzieje instytucji Zakonu, nie dostrzega znaczenia tych 150 lat krzyżackich w perspektywie transoptycznej w przeciągu następnych 500 lat. Wystarczy przecież szkolna znajomość historii Polski, aby zauważyć, że w 1525 r. zsekularyzowane państwo krzyżackie dostało się w ręce dynastii Hohenzollernów; mając swą podstawową bazę w Rzeszy Niemieckiej, uzyskali oni w 1657 r. pełną suwerenność w Prusach Książęcych, co z kolei umożliwiło im kreowanie się w 1701 r. na „królów w Prusiech”, a w latach 1772–1795 wysunąć się na czoło głównych sprawców rozbiorów Rzeczypospolitej; nie należy zapominać także o tym, że od samego początku Zakon Krzyżacki miał swoją podstawową bazę instytucjonalną w Rzeszy i był przez cały czas ekspozyturą jej ekspansji w strefie Bałtyku aż po Inflanty. Jest rzeczą wprost żenującą, że w gronie zawodowych historyków trzeba przypominać im konieczność rozpatrywania każdego znaczącego wydarzenia z perspektywy „długiego trwania”.

Trafnie profesor Rojek zauważył, że „my po prostu nie zdołaliśmy jeszcze w wielu wypadkach należycie zrekonstruować procesu historycznego, a więc poniekąd także nie ustaliliśmy faktów”. Z istoty rzeczy odnosi się to do dziejów najnowszych, zwłaszcza po 1944/45 r., z powodu niedostępności źródeł – z jednej oraz ich obfitości z drugiej strony, ale odnosi się to też do wczesnego średniowiecza, w tym wypadku przede wszystkim z powodu braku lub zawodności tych źródeł. Wobec tego domaganie się, aby już na tym etapie prac nad historią dyplomacji dostarczyć dzieło idealne, ma charakter pobożnego życzenia. Czeka naszych następców jeszcze wiele lat pracy i na owoce ich pracy trzeba będzie poczekać także wiele lat. Dotyczy to przede wszystkim, jak słusznie stwierdził mówca, „okresu powojennego”. Na obecnym etapie naszych osiągnięć historiograficznych, dążąc do uzupełnienia zauważonych pominięć lub skrzywień,

trzeba stale pamiętać, iż „hdp” buduje swoją faktografię na HDP, choć profesor Rojek uważa, że „oderwanie się od nadmiernie rozbudowanej faktografii” w „hdp” pozwoliłoby na „spojrzenie na całość z większym dystansem”. W rezultacie swojej krytyki dochodzi do wniosku, że „gdyby wpierw zaproponować czytelnikowi naświetlenie generalistów i na tym tle odnieść się do pewnych posunięć szczegółowych, to ich oceny byłyby z pewnością bardziej zasadne”. Jest to koncepcja całkiem innej syntezy. HDP, skupiająca się przede wszystkim na ustalaniu faktów podstawowych, zastosowała wykład indukcyjny „od szczegółu do ogółu”, natomiast proponowana wyżej koncepcja wymusi wykład o charakterze dedukcyjnym „od ogółu do szczegółu”. Bynajmniej jednak nie wypowiadamy się przeciw realizacji takiego modelu syntezy. Będzie się można ustosunkować do jej osiągnięć po jego realizacji.

Optymiści i pesymiści

Następni krytycy dzielą się na optymistów, którzy zgłaszają swoje spostrzeżenia z nadzieją, że warto pracować nad ulepszeniem dzieła, oraz pesymistów, którzy coraz bardziej zmierzają w kierunku całkowitej jego degradacji z przekonaniem, że jest to już tylko „kupka śmiechu”, „naukowe kuriozum”, „nieszczęsne średniowiecze”.

Zanim przejdziemy do konkluzji, warto się jeszcze na chwilę zatrzymać przy jednych i drugich, teraz już jak najkrócej (ze względu na pojawiające się coraz częściej w dyskusji powtórki). Do wypowiedzenia się o szczegółach zakwestionowanych lub faktach domagających się uzupełnienia bardziej od nas powołani są autorzy poszczególnych rozdziałów.

Dr Sławomir Dębski zauważył, że w „hdp” pominięto zawarcie układu polsko-brytyjskiego z 25 sierpnia 1939 r. o wzajemnej pomocy zbrojnej. Istotnie, jest to niedopatrzenie, typowy *lapsus memoriae*, za które odpowiedzialność ponoszą zarówno autor, jak i redaktorzy. Nie pominięto jednak tego

faktu w HDP (tom IV, s. 508–609). W wersji angielskiej mankament został usunięty.

Słuszne jest w zasadzie spostrzeżenie, że w opisie wydarzeń okresu 1944–1989 „brakuje [...] charakterystyki osób, które tę politykę prowadziły”. Gdyby nadać temu formę słusznego skądinąd postulatu i przeprowadzić go konsekwentnie w całym dziele, to rozsądziłby jego rozmiary do niewyobrażalnych granic. Można też zastanawiać się, czy użyte w podrozdziale sformułowanie: „Nowe uwarunkowania dyplomacji polskiej po II wojnie światowej” jest dość wyraziste dla określenia przełomu, jaki wówczas w dyplomacji polskiej nastąpił. W każdym razie nie można się zgodzić z komentarzem, jakoby takie sformułowanie miało oznaczać, że „wcześniej była dyplomacja polska, która miała [...] inne uwarunkowania”, a teraz „też jest dyplomacja polska”, lecz „tylko ma inne uwarunkowania”. A czy nie miała? Istniało wówczas państwo polskie mające międzynarodowe uznanie i członkostwo w ONZ, czy i to państwo nie miało swej ciągłości instytucjonalnej? To są tylko konstatacje retoryczne. Z treści tego rozdziału czytelnik dowiaduje się, jak ten tytuł rozumiał autor.

Za daleko posunięty jest zarzut, jakoby autor w tym rozdziale dokonał następującego porównania: „Otóż zestawienie Pawła Włodkowica, Jana Dantyszka, Adama Jerzego Czartoryskiego, Augusta Zaleskiego, Edwarda Raczyńskiego z Zygmuntem Modzelewskim i Stefanem Olszowskim w jednej linii, wymienianie tych nazwisk jak gdyby jednym tchem, w moim przekonaniu wymagałoby jednak jakiegoś komentarza”. Takiego zdania przecież autor nie napisał. Wydaje się, że autor tych słów niezręcznie wyraził swój postulat, którego realizacja wymagałaby zupełnie innego kontekstu, mianowicie monografii omawiającej biografie wszystkich czołowych dyplomatów polskich. Temat gotowy i godny podjęcia.

W swoim głosie wśród usterek zasadniczych dr Dębski dostrzegł rzecz następującą: „otóż ten polonocentryzm, który się także przejawia w tym rozdziale (tj. w okresie: 1944–1989),

nie pozwala dostrzec". Zarzut „polonocentryzmu”, nie tak dobitnie wypowiedziany, przejawia się także jako zarzut pod adresem „hdp” w innych wystąpieniach. Zarzut ten jest teraz w modzie. Krytycy nie zauważyli tymczasem rzeczy podstawowej, że jej autorzy piszą cały czas o „polskiej dyplomacji”, a nie o historii dyplomacji w ogóle. Ponieważ HDP tworzyła dopiero systematyczną wiedzę o tej dyplomacji bezpośrednio ze źródeł, i tę wiedzę autorzy przekazali do „hdp”, z istoty rzeczy musieli z nich wydobywać wszystkie fakty, które ją konstytuują. Niektórzy krytycy mają autorom za złe, że w obręb tej faktografii włączają też Śląsk i Pomorze. Jakoś nie martwi ich fakt, że obok „polonocentryzmu” kwitnie w historiografiach krajów sąsiednich „germanocentryzm” i „rusocentryzm”. Nie razi ich, że całą Polskę zachodnią historycy niemieccy jeszcze dziś obejmują pojęciem: *Ostdeutschland*, choć wiadomo, że w momencie tworzenia się „nieszczęsnych” państw narodowych państwo niemieckie kończyło się na Łabie, Śląsk pozostawał w granicach Polski do połowy XIV w. (1348), a Pomorze Zachodnie „do schyłku XII wieku”¹⁶.

Pani Joanna Chodor, zainteresowana średniowieczem, ma inną wizję tego okresu. „Za dużo jest tutaj historii politycznej”, a mianowicie nie zajmować się w tym okresie „w sposób ogólny”, zwłaszcza technikami dyplomatycznymi, „kiedy ich jeszcze nie było”, „natomiast przejść od ogółu do szczegółu”. Rzecz w tym, że po to bada się szczegóły, aby potem przejść do ogółu, jak o tym już poprzednio się powiedziało. To zadanie wykonała HDP i z tych ustaleń korzystała „hdp”.

Ze spostrzeżeń poczynionych przez dyrektora Tadeusza Szumowskiego na uwagę zasługuje postulat opracowania podręcznika o „polityce zagranicznej rządu emigracyjnego

¹⁶ Zob. dialog historiograficzny na ten temat w monografii *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii*, pod red. J. Krasuskiego, G. Laudy i A. Walczaka, t. I-III, Poznań 1974, 1984, 1991, brak takiego opracowania dla stosunków polsko-rosyjskich. W historiografii polsko-niemieckiej trafnie dostrzeżono, że niemieckiemu „parciu na wschód” towarzyszy analogiczne polskie „parcie”, czego autorzy HDP i „hdp” nie przemilczają.

1945–1990”, ale postulat ten w tym sformułowaniu jest możliwy do wykonania w syntezie zajmującej się stosunkami międzynarodowymi Polski. Pytanie, czy istnieje naukowa praca o dyplomacji rządu emigracyjnego?

Dr Tadeusz Szumowski zapoczątkował dyskusję nad najbardziej „gorącym” tematem – mianowicie czy „hdp” może być podstawą do przygotowania wersji w języku angielskim. Nawiązał do tej sprawy profesor Skowron, wyrażając „wątpliwości co do zasadności tłumaczenia angielskiego”. Jego zdaniem „nie przedstawiamy dziejów polskiej dyplomacji w powiązaniu z najważniejszymi zagadnieniami polityki europejskiej, sytuacją międzynarodową, konfliktami i planami głównych aktorów sceny politycznej w Europie nowożytnej”. A mianowicie „pod kątem odbiorcy zagranicznego należy przygotować coś zupełnie innego”. W proponowanym dziele – jego zdaniem – powinien być m.in. poruszony wątek drobnych czy raczej krótkich kontaktów dyplomatycznych, jak np. „Toskania i jej kontakty z Polską w początkach XVII wieku”. Nie widzimy możliwości zrealizowania tego rodzaju postulatów w ramach „hdp”. Natomiast za celowy należy uznać postulat, wyrażony już w wielu poprzednich wypowiedziach, opracowania syntezy dziejów polityki międzynarodowej Polski.

Ten temat podjął w swoim wystąpieniu ambasador Ryszard Stemplowski. Wbrew temu, czego dowodził profesor Skowron, wyraził zdanie, że „Polska dyplomacja traktowana jest w tej książce często jako synonim stosunków międzynarodowych”, choć jego zdaniem, brakuje w niej „ukazania dyplomatycznych aspektów położenia Polski w procesie kształtowania się podziału Europy na Wschód i Zachód w stuleciach XIII–XVII, kiedy ten proces się odbywał”, oraz „brakuje też syntetycznego ujęcia systemu dwubiegunowego z punktu widzenia takiego państwa jak PRL”. Najwięcej postulatów z tego zakresu mówca zgłasza pod adresem ostatniego rozdziału, co także dominowało w niektórych

wypowiedziach wcześniejszych, ale tutaj zostało wypunktowane szczegółowo.

Wszelako obecnie sytuacja jest o tyle korzystna, że dobiegają końca prace nad tomem VI HDP (za lata 1944/45–1989). Zespół autorski przygotował 800-stronicowe opracowanie wstępne, w którym na tle sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej RP i PRL zrekonstruował najważniejsze cele polskiej polityki zagranicznej i ich realizację przez polski aparat dyplomatyczny w warunkach całkowitego podporządkowania Polski przez ZSRR. W oparciu o materiały archiwalne i najnowszą literaturę przedmiotu przedstawiono w sposób nowatorski wiele problemów; m.in. sprawy granic Polski, normalizacji stosunków PRL–RFN, problem emigracji, rolę aparatu dyplomatycznego w rozwijaniu stosunków gospodarczych PRL z zagranicą, miejsce Polski w budowaniu systemu KBWE i inicjatywach pokojowych ONZ. Oczywiście przedstawiono także dwustronne i wielostronne stosunki z państwami zachodnimi i socjalistycznymi, Chinami i niektórymi państwami rozwijającymi się, stanowisko wobec głównych konfliktów w Europie i świecie, izolację Polski po wprowadzeniu stanu wojennego i strukturalnego kryzysu państwa. Zwrócono uwagę na próby zwiększenia zakresu suwerennych uprawnień PRL w bloku wschodnim w niektórych okresach (1956 r.) i sprawach (np. kwestii niemieckiej). Opracowanie zawiera również analizę rozwoju polskiej służby zagranicznej, jej podległości aparatowi partyjnemu (Biuro Polityczne, KC, podstawowe organizacje partyjne), politykę kadrową i jej wypaczenia (m.in. czystki lat 1948–1953, 1968), rozwój techniki pracy dyplomatycznej itd. Ten cały dorobek będzie wielce pomocny do wprowadzenia nowych treści i dokonania poprawek do przygotowywanej wersji angielskiej „hdp”.

Natomiast dotąd nie jest jeszcze rozstrzygnięta do końca kwestia formy i treści kolejnego rozdziału, poświęconego okresowi po 1989 r., mającego się ukazać w zaplanowanej wersji angielskiej.

Konkluzje

Na ostatecznym werdykcie w sprawie „hdp” jako podkładu dla tejże wersji zaciążyła głównie ujemna opinia dysku- tantów o średniowieczu i o minionym stuleciu w jego drugiej połowie. Śledząc przebieg tej dyskusji i będąc wyraźnie pod jej wpływem, dyrektor Ryszard Stemplowski doszedł do przekonania, iż „teraz jednak sceptycznie odnoszę się też do zamysłu wydania przez kogokolwiek angielskojęzycznej wersji”. Zamykając więc na tym spotkanie, jako jego organi- zator, Ryszard Stemplowski zauważył, że „dyskusja redak- cyjna nie może być klasyczną recenzją” i słusznie też pod- kreślił, że zgłoszone przez uczestników dyskusji zastrzeżenia mogą „wywołać wrażenie jednostronności”, a więc dopiero w jego podsumowaniu doszła do głosu druga semantyczna treść słowa „krytyka”. Chciałby on z tego względu zwrócić uwagę „na sam pozytywny fakt powstania omawianej syn- tezy. W niewielu krajach istnieją tego rodzaju opracowania, a przecież w Polsce powstała zarówno pięciotomowa wersja, jak i [...] jednotomowa”.

O tej drugiej podtrzymał swój negatywny sąd, albowiem synteza oddaje stan wiedzy na ogół sprzed kilkunastu lat, a w części dotyczącej okresu powojennego – jest w znacznym stopniu skutkiem „postawy ukształtowanej przez oficjalną politykę [...] lat pięćdziesiątych [...] ubiegłego wieku”. W zakończeniu mówi on, że „praca nad omawianą dziś książką była potrzebna, ale dzisiaj ta synteza należy już do przeszłości syntezy przyszłej. Pora zacząć pisanie syntezy nowej”.

W naszym oglądzie rzeczy sprawy te przedstawiają się inaczej. W pełni popieramy postulat przyszłej nowej syntezy. Nie zgadzamy się natomiast, że omawiana „hdp” i przedstawia- na w niej historyczna przeszłość także należy do przeszłości.

Z uznaniem więc przyjęliśmy inicjatywę, aby najpierw po- czekać „na głosy redaktorów tomu i jego autorów [...] przed jej ogłoszeniem”, jak rozumiemy w języku angielskim.

Istotnie, już w średniowieczu wytworzyła się praktyka, iż należy apelować: *de papa male informato ad papam melius informandum*. Już z naszej repliki wyraźnie wynika, że nie tylko naczelny redaktor „PPD”, lecz także uczestnicy dyskusji informowali przeważnie o mankamentach „hdp”. Teraz do głosu dojdą autorzy dzieła, którzy wypowiedzą swoje zdanie co do zasadności wyrażonych w dyskusji ocen i często bardzo pochopnych sądów. Dopiero po ogłoszeniu nie tylko głosu dyskutantów, lecz także autorów i redaktorów syntezy przyjdzie czas na końcowe orzeczenie.

Przechodząc więc do konkluzji, najpierw pragniemy podziękować Ryszardowi Stemplowskiemu za zorganizowanie omawianej dyskusji, gdyż dzięki niej może wreszcie sam temat dziejów dyplomacji polskiej i pięciotomowa jej historia, włącznie z przygotowywanym tomem szóstym, zostaną wyprowadzone z izolacji historiograficznej. Opowiadamy się dalej z pełnią przekonania, że powstała na podłożu wielkiej syntezy mała synteza dyplomacji polskiej, w przekroju chronologicznym od X do XX w., po dokonaniu poprawek i uzupełnień (częściowo już w niej przeprowadzonych w toku przygotowania jej do tłumaczenia), teraz także z uwzględnieniem przeprowadzonej nad nią niniejszej debaty, winna się ukazać w druku. W obliczu realizującej się perspektywy wejścia Polski do Unii Europejskiej i poszerzenia się aktywności dyplomatycznej i politycznej III Rzeczypospolitej nadszedł właściwy czas na pokazanie, że dyplomacja polska nie powstała dopiero wczoraj, lecz ma swoją wielowiekową przeszłość i tradycję.

Nie zgadzamy się z orzeczeniem, że „hdp” została opracowana bez teoretycznych i metodologicznych założeń. Wobec obszernego omówienia tego zagadnienia w tomie pierwszym wielkiej syntezy mogliśmy we wstępie do małej syntezy lapidarnie założyć te zasygnalizować. Jest to synteza po raz pierwszy ukazująca w aspekcie instytucjonalnym działalność dyplomatyczną państwa, zwłaszcza jego organów zajmujących się stosunkami międzypaństwowymi. Jako praca

pionierska może mieć mniej lub więcej przez każdego badacza subiektywnie postrzeganych wad i usterek, ma jednak podstawową zaletę – mianowicie jest.

Jak każde dzieło ludzkiej twórczości posłużyła ona dopracowaniu tego samego zagadnienia do doskonalszej postaci. Z pełną aprobatą przyjmujemy też wiadomość, że na kanwie i w wyniku przeprowadzonej dyskusji pojawiła się myśl spojrzenia na to samo zagadnienie z punktu widzenia historii stosunków międzynarodowych. Życzymy inicjatorom takiego dzieła powodzenia, oby jak najszybciej zrealizowanego.

Na zakończenie znowu odwołamy się do znanego przysłowia łacińskiego *Et haec facienda et illa non omnitenda* – i to zrobić, i tamtego nie poniechać!

**List od profesora Gerarda Labudy,
6 lutego 2004 r.**

**Wcześniejsze średniowiecze
w Historii dyplomacji polskiej X-XX w.
w ocenie dyskutantów**

Odpowiadam pokrótce, niekiedy w narzuconym mi stylu i tonie, na spostrzeżenia, zastrzeżenia i zarzuty skierowane pod adresem wspomnianego w tytule okresu dziejów dyplomacji polskiej.

Państwa narodowe

Wprawdzie niektórzy dyskutanci oświadczyli, że nie wiedzą, „co to jest dyplomacja” w odniesieniu do tego wcześniejszego okresu, tą niewiedzą objęli też określenie „państwa narodowe”. Jednakże kierując się ogólnie uznaną definicją, że dyplomacja oznacza „działalność organów państwowych dotyczącą zewnętrznej polityki państwa”, oczywiście jest, iż

w rozdziale wstępnym należało czytelnika poinformować, od jakiego czasu w Europie Środkowej wytworzyły się państwa, w tym także przede wszystkim polskie, zdolne do podejmowania takiej działalności nie tylko z państwami ościennymi, lecz także z państwami zachodnioeuropejskimi i bałkańskimi. Proces ten zaczął się w Europie tworzyć po ustaniu tzw. wędrówek ludów od symbolicznie przyjętego wieku VI w Europie Zachodniej i Południowej, a skończył się w Europie Środkowej już w połowie X w. Użycie określenia „narodowe” jest dla tego rodzaju procesów ogólnie przyjętą terminologią w literaturze historiograficznej. Pozwala też uniknąć każdorazowo enumeracji: państwo polskie, ruskie, czeskie, szwedzkie, duńskie, norweskie itd., z którymi państwo Mieszka I i Bolesława Chrobrego nawiązało kontakty o charakterze dyplomatycznym. Krytycy nie chcieli zauważyć, że w tytule rozdziału wprowadziłem daty graniczne „wiek X-1370”, a w podtytule „tworzenie się systemu państw narodowych i ich rozwój we wczesnym średniowieczu”¹⁷.

Przechodząc do rozpatrzenia spostrzeżeń i zastrzeżeń bardziej szczegółowych, zauważymy, że „krytyką” rozdziału poświęconego historii dyplomacji okresu piastowskiego w latach 960–1370 kolejno zajęli się: profesor Henryk Samsonowicz, a pojmując ten wyraz w znaczeniu globalnym, ocenia zarówno dodatnio, jak i „krytycznie” jego zalety i niedopowiedzenia, a także wady, natomiast podejście profesora Stanisława Szczura do tego rozdziału, dające pierwszeństwo przymiotnikowemu, jednostronnemu znaczeniu tego wyrazu, ogranicza się tylko do wykazania usterek, wad i uchybień w nim zawartych; jego zdaniem zalet on nie ma.

¹⁷ Ostatni mój głos w tej sprawie: zob. G. Labuda, *Kształtowanie się systemu państw i narodów europejskich*, [w:] *Narodziny średniowiecznej Europy*, praca zbior. pod red. Henryka Samsonowicza, Warszawa 1999, s. 278–336, oraz literatura, s. 353–356.

Co powinno wchodzić w zakres pojęcia: dyplomacja w ujęciu historycznym

Do „hdp” w całości profesor Samsonowicz ustosunkował się „z uczuciami ambiwalentnymi”, odnosząc się „z wielkim podziwem dla erudycji, wszechstronności autorów, dla wysiłku organizacyjnego i wobec stworzenia jakiejś syntezy, która na pewno jest czymś wyjątkowym, przynajmniej w naszej historiografii”, ale także krytycznie do niektórych jej usterek i braków, jak np. brak uwzględnienia aspektów gospodarki i kultury w działalności dyplomatycznej państwa. Słuszność tych niedostatków została przyjęta z aprobatą w stosownym miejscu przez Redaktorów naukowych syntezy.

Biorąc za punkt wyjścia dwa epizody historii, profesor Samsonowicz zwrócił uwagę na zmienność tego pojęcia (tj. dyplomacja) w ciągu dziejów, a więc „czy dyplomacja wieku XX jest tym samym, czym była dyplomacja w czasach Bolesława Chrobrego”, a także Leszka Białego. Doszedł do wniosku, iż u obu autorów historii dyplomacji średniowiecznej pojawiła się „chęć podciągnięcia pod jeden wspólny mianownik różnych zjawisk, procesów”. Co do zasady zmienności nie ma sporu; istotą dziejów jest bowiem zmienność nie tylko ustrojów społecznych, lecz także ludzkich zachowań. Jeden i ten sam czyn może także należeć równocześnie do różnych sfer ludzkiej działalności pojmowanej strukturalnie, tj. kulturowo, ustrojowo, produkcyjnie, biologicznie itp. Co należy do dyplomacji, wynika z przyjmowanej przez każdego badacza definicji. Nie ulega wątpliwości, że w czasach, gdy państwo i jego pierwiastkowe instytucje są zdominowane przez monarchę, różne sfery przez niego realizowanych działań: ekonomiczne, polityczne, kulturowe, zachodzą na siebie. Działań dyplomatycznych należy więc szukać przede wszystkim w przełęczu między polityką zagraniczną i wewnętrzną. W miarę usamodzielniania się powołanych przez monarchię instytucji życia państwowego, zwłaszcza ustrojowego, identyfikowanie działań ściśle dyplomatycznych,

ujawniających się w organizacji i technice działań dyplomatycznych, staje się coraz bardziej przejrzyste i uchwytnie. Państwo także przechodzi w swoich dziejach metamorfozy, a więc i jego dyplomacja podlega przemianom stosownie do ewolucji zachodzących zarówno w jego własnych instytucjach, jak i w analogicznych instytucjach życia politycznego międzynarodowego.

A zatem, przechodząc do analizy konkretnego wydarzenia, czy oślepienie księcia czeskiego Bolesława Rudego to „jest technika działania dyplomacji”? Stanowczo nie, gdyż w zakresie polityki zagranicznej brak temu działaniu cechy stałości. Czyn ten należy do dziedziny faktów jednostkowych i należy w tym znaczeniu w stosunkach międzypaństwowych i wewnętrznych do dziedziny mentalności, ogólniej kultury politycznej. Dopiero gdyby tego rodzaju działania nabrały cech stałości w polityce państwa, to trzeba by je wpisać do rejestru narzędzi działań dyplomatycznych, np. jako składnik zorganizowanego terroru; przykłady takiego postępowania w naszej epoce nasuwają się same (w Związku Sowieckim: porywanie, a potem likwidowanie przeciwników nabrało cech stałości, a zatem stało się składnikiem jego dyplomacji). W tym wypadku fakt oślepienia księcia czeskiego został w „hdp” wspomniany aluzyjnie, ale zapisany w HDP, tom I, s. 102.

Inaczej przedstawia się sprawa z zabójstwem Leszka Białego pod Gąsawą w roku 1227. Zwołany tutaj wiec państwowy miał na celu rozstrzygnięcie konfliktu skłóconych z sobą książąt dzielnicowych, reprezentujących interesy swoich państweczek. Inicjatywa Leszka Białego pokojowego rozpatrzenia tego konfliktu ma więc zarówno charakter polityczny, jak i dyplomatyczny. Natomiast dokonane tam zabójstwo (nawiasem mówiąc: uciekał Leszek Biały, a nie Henryk Brodaty) jest wydarzeniem jednostkowym, niepowtarzalnym, a zatem całkowicie należnym do dziejów politycznych ówczesnego poliarchicz-

nego państwa polskiego, o dalekosiężnych konsekwencjach w stosunkach wewnątrzno-politycznych¹⁸.

Przejdźmy teraz do uwag i zastrzeżeń profesora Stanisława Szczura, który wychodząc z owego swoiście pojętego drogowskazu, zawartego w przymiotniku „krytyczny”, tylko tą stroną „hdp” się zajął. Pójdziemy śladem obranej przez niego drogi.

„Stan badań”

W tej sprawie krytyk wypowiedział się jednoznacznie: „W 1980 roku ukazał się pierwszy tom *Historii dyplomacji*, tej dużej pięciotomowej. Ja wykonałem pracę domową i porównałem tekst z 1980 i średniowiecze z tego tomu. Chciałoby się powiedzieć tak: *nihil novi* albo jeszcze gorzej. To jest całkiem po prostu, jeżeli chodzi o epokę piastowską – streszczenie z ogromnymi uproszczeniami [...]. Do 1370 roku jest tam stan wiedzy gdzieś tak z 1960 roku”.

Sprawa rzekomych „streszczeń” została wyjaśniona w części ogólnej, więc do niej nie wracamy. Natomiast w sprawie „stanu badań”, jakie krytyk ma kwalifikacje do wypowiedzenia takiej ogólnej i arbitralnej oceny? Jak wiemy, profesor Szczur jest autorem wydanej w 2002 r. *Historii Polski – Średniowiecze*. W tej syntezie (o której, od razu dodam, jestem ogólnie biorąc dobrego mniemania, z pewnymi zastrzeżeniami, dotyczącymi czasów starszych do schyłku XIII w.; ale nie tu miejsce, by się na ten temat rozwodzić) autor oparł

¹⁸ W tej sprawie wywiązała się obszerna dyskusja, której tutaj w szczególności zreferować nie możemy, zob. G. Labuda, *Śmierć Leszka Białego (1227)*, „Roczniki Historyczne”, 61 (1995), s. 7–35; T. Jurek, *W obronie zdrajcy*, „Roczniki Historyczne”, 62 (1996), s. 151–167; B. Śliwiński, *Zerwanie Świętopętka gdańskiego z księciem krakowskim Leszkiem Białym na drodze do Gąsawy*, [w:] *Kopijnicy, szyprowie, tenutariusze* („Gdańskie Studia z Dziejów Średniowiecza”, nr 8), Gdańsk 2002, s. 191–239; G. Labuda, *O sprawcach zabójstwa Leszka Białego w Gąsawie w roku 1227 – po raz drugi* w „Zapiski Historyczne”, 68 (2003), s. 639–661.

swoje opracowanie na 259 imiennie i bibliograficznie wymienionych książkach i rozprawach, w tym również własnych (w dużym wyborze). Nie wymienił wśród nich ani jednej własnej odnoszącej się do okresu przed 1300 r. W mieszczących się w tym poprzednim okresie wykazie prac górują nazwiska starszych generacji historyków, którzy w swoich wnikliwych badaniach ustalili podstawowy zasób faktów historycznych i dali im wyraz w swoich poglądach historiograficznych. Pod tym względem nowsi badacze nie dokonali żadnej rewolucji ani po roku 1980, ani po roku 1989, zwłaszcza w początkującej dopiero historii dyplomacji. Nie ma jej też we wspomnianej syntezie.

Na jakiej podstawie Stanisław Szczur ustalił, że *Historia dyplomacji* HDP i wywodząca się z niej „hdp” oddaje stan badań z roku 1960? Rzeczywisty stan badań dla każdego okresu, a tym bardziej dla każdego szczegółowego zagadnienia w ramach X–XIII w., może określić tylko ten, kto rozpoznał je na dwu podstawowych etapach, mianowicie najpierw ustalania samych faktów źródłowych, a następnie opracowywania na ich podstawie „faktów historycznych”. O konieczności takiego postępowania mogę mówić na przykładzie własnego doświadczenia w mojej rozprawie: *O badaniach nad zjazdem gnieźnieńskim roku 1000* (2002). Profesor Szczur, pisząc swoją syntezę, opiera się dla omawianego okresu wyłącznie na poglądach historiograficznych historyków, a więc na faktach czerpanych z drugiej ręki, wybierając z nich te, które uznał za najbardziej trafiające mu do przekonania. Do istniejących poglądów dodał własny pogląd historiograficzny. I nic więcej.

Moje opracowanie dyplomacji okresu średniowiecznego w X–XIII w. w pierwszym tomie HDP z 1980 r. „wyostrałem” bezpośrednio ze źródeł i, przechodząc systematycznie przez etap ustalania „faktów źródłowych”, stworzyłem na ich podstawie wynikającą z nich sieć „faktów historycznych”, dając im do przeprowadzenia dalszej analizy rangę subiektywnych także „faktów historiograficznych”, poddając je jako takie dalszej weryfikacji albo używając terminologii Karla

Poppera „falsyfikacji”, czyli dowodu, że nie oddają prawidłowo rzeczywistości historycznej. A więc tylko ci badacze, którzy idąc w ślad za moimi pierwszymi w tej dziedzinie ustaleniami, przejdą tę samą drogę, będą mogli kompetentnie powiedzieć, co w tej dziedzinie jest faktycznym stanem badań, a następnie zaproponować na podstawie własnych badań swoją wizję historii dziejów dyplomacji całego okresu piastowskiego do roku 1370.

Nie muszę tutaj specjalnie przypominać, że w swoich badaniach nad piastowskim okresem dziejów nie zatrzymałem się na roku 1980 (według profesora Szczura na 1960), ogłosiłem bowiem po roku 1980 kilka monografii, a także syntetycznych i przeglądowych analiz i rozpraw aż do wczoraj, poczynając od dwutomowych *Studiów nad początkami państwa polskiego* (1986–1987, z aktualizującym posłowiem do tomu pierwszego). Nie widzę potrzeby ich wymieniania, gdyż są rejestrowane w bieżącej „Bibliografii historii Polski”, ogłaszanej przez IH PAN. Wspomnę tylko o ujęciu syntetycznym: *Pierwsze państwo polskie* (1989) i *Korona i infuła – Od monarchii do poliarchii (1034–1138)* – z roku 1996, gdyż one także wymagały uwzględnienia aktualnego stanu badań.

Przejdźmy teraz do XIV w., o który też „zawadzałem” swoimi studiami (częściowo niepublikowanymi, ale sygnalizowanymi głównie w książce: *Zaginiona kronika dominikańska w Kronikach Jana Długosza* (1983), dotyczącej w całości XIII stulecia)¹⁹. Moje opracowanie tego okresu profesor Szczur ocenił jednoznacznie: „W przypadku XIV wieku, cała ta partia [...] jest, mówię to z całą odpowiedzialnością [podkreślenie – G.L.], jednym wielkim kuriozum. [...] to jest streszczenie Zdzisława Kaczmarczyka, streszczenie złe”.

¹⁹ Zob. G. Labuda, *Przeniesienie koronacji królewskich z Gniezna do Krakowa w XIV wieku*, [w:] *Cracovia, Polonia, Europa – Studia z dziejów średniowiecza ofiarowane Jerzemu Wyrozumskiemu*, Kraków 1995, s. 47–59; idem, *O godności króla i instytucji królestwa*, [w:] *Przemysł II – Odnowienie Królestwa Polskiego*, pod red. J. Krzyżaniakowej, Poznań 1997, s. 2756.

Wyjaśnijmy od razu dwie rzeczy: Zdzisław Kaczmarczyk był autorem rozdziału: „Dyplomacja polska w dobie zjednoczenia Królestwa Polskiego (1306–1382)”, który zdaniem Stanisława Szczura źle streściłem. Nie mam wątpliwości, że profesor Szczur jako wnikliwy i wyjaśniający w swoich rozprawach i książkach dla tego samego okresu wiele zagadnień byłby to zrobił znacznie lepiej, ale „kuriozum” całej tej kontrowersji polega na tym, że „streszczając” tekst Kaczmarczyka, wprowadziłem do niego sporo innowacji i faktów, wynikających m.in. z postępu badań, w tym przede wszystkim analitycznych rozpraw profesora Szczura²⁰. Z pewnością nie należy do nich przypisany mi przez niego szczegół: „Od przynajmniej piętnastu lat wiemy, że żadnego Spytka z Melsztyna nie było w Pradze”; zarzut chybiony, gdyż nie ma go też w moim tekście; nie wydawałem za męża córki króla Kazimierza „za Luksemburga”.

Przejdźmy teraz od szczegółów do zastrzeżeń ogólnych, mających potwierdzać ową ujemną ocenę.

Układy wyszehradzkie

Swoje zastrzeżenia krytyk wyraził takim zdaniem: „Nie można mówić, że traktat kaliski był ratyfikacją układów wyszehradzkich, bo to jest nieporozumienie, po prostu to jest błąd [...]. Nie można mówić, że król nie przyjął wyroku sądu arbitrażowego, bo jeżeli się tak mówi, to znaczy, że nie rozumie się, czym był sąd [arbitrażowy – G.L]. Bo tam się wyrok przyjmowało przed jego ogłoszeniem i na tym polegała sama istota arbitrażu, to jest od bardzo dawna znane”.

I znowu w moim tekście nie ma wzmianki o sądzie arbitrażowym, bo to należało do procedury, którą nie mogłem się

²⁰ Zob. niżej; także, S. Szczur, *Traktaty międzynarodowe Polski piastowskiej*, Kraków 1990, oraz jego artykuły dotyczące stosunków Polski ze Stolicą Apostolską.

zajmować. Samo zagadnienie faktycznie jest znane²¹, tylko że w Wyszehradzie procedura ta przebiegała nieco inaczej, o czym profesor Szczur nie powiedział w swoim ogólnikowym sformułowaniu. Zróbmy to za niego. Swój pogląd przedstawił w dwu rozprawach: *Traktat pokojowy Kazimierza Wielkiego z Zakonem Krzyżackim z 1343 roku*, „Zapiski Historyczne”, 56 (1991), s. 439–464, oraz: *Zjazd Wyszehradzki z 1335 roku*, „Studia Historyczne”, 35 (1992), s. 3–17. Obie te rozprawy wymagają porównania z wynikami badań Henryka Paszkiewicza, *Ze studiów nad polityką krzyżacką Kazimierza Wielkiego*, „Przegląd Historyczny”, 25 (1925), s. 187–221, gdyż dopiero razem wzięte dają pełny obraz poczynań dyplomatycznych Kazimierza Wielkiego w sprawach krzyżackich w latach 1333–1343. Nie zgłębiając więc szczegółów, zatrzymajmy się na wydarzeniach najważniejszych.

Arbitrzy, Karol, król Węgier i Jan Luksemburski, król Czech pojawili się w Wyszehradzie na początku listopada po trzytygodniowych obradach i zakończyli spotkanie swoim orzeczeniem przybranym w formę dokumentu 26 listopada 1335 r. Najistotniejszym jego postanowieniem było przywrócenie władztwa królowi Kazimierzowi w jego dziedzicznej Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej oraz potwierdzenie przez króla Kazimierza Zakonowi pełnego i nieograniczonego władztwa Pomorza „z boskiej odpłaty na zbawienny pożytek dusz swoich przodków i własne zbawienie jako wieczystą jałmużnę (elemosina)”, a także z tego samego tytułu posiadania Ziemi Chełmińskiej i Toruńskiej otrzymanych przez Zakon od przodków Kazimierza.

Gdy już w pierwszej połowie listopada 1335 r. sentencja ta doszła do wiadomości przybyłych na sąd upoważnionych

²¹ Zob. Z.H. Nowak, *Międzynarodowe procesy polubowne jako narzędzie polityki Zygmunta Luksemburskiego w północnej i środkowowschodniej Europie (1412-1424)*, Toruń 1981; odwołuje się do niego Marian Biskup w monografii: M. Biskup, G. Labuda, *Dzieje Zakonu Krzyżackiego w Prusach*, Gdańsk 1986, s. 370 przyp. 18.

emisariuszy zakonnych, przygotowali oni zapewne dopiero na miejscu (a nie jeszcze przed posiedzeniem sądowym w Malborku, jak przypuszcza Stanisław Szczur) projekt dokumentu rezygnacyjnego, z wpisanymi już imionami króla Kazimierza i przybyłych z nim razem dostojników Królestwa, który miał on wystawić wielkiemu mistrzowi Zakonu od słowa do słowa (*de verbo ad verbum in instrumentem pacis et concordie debent describi*). Nie zachował się w źródłach żaden ślad, jakoby król Kazimierz taki dokument wówczas wystawił. Zdaniem Stanisława Szczura: „Równocześnie z układem pokojowym ustne ogłoszenie wyroku arbitrażowego, który Kazimierz Wielki przyjął” (*Zjazd...*, s. 17). Donosił o tym król czeski Jan w swoim liście z dnia 3 grudnia 1335 r. wielkiemu mistrzowi, ale donosił tylko, iż król Polski otrzymał takie zalecenie „i powinien wam dać dokument rezygnacyjny za siebie i za swoich następców”. Za daleko więc jest posunięty wniosek, że król Kazimierz „wyrok sądu arbitrażowego przyjął”. Bardziej odpowiednia będzie formuła „przyjął do wiadomości”. Dopiero 26 maja 1336 r. król obiecuje obu arbitrom wykonanie ich wyroku (*laudum*); ale nadal były to tylko obietnice.

Dalszy bieg pertraktacji między królem a Zakonem wskazuje, że taką właśnie przyjął metodę postępowania. W marcu 1337 r., z widocznej inicjatywy króla Jana, doszło w jego obecności do spotkania króla Kazimierza i Wielkiego Mistrza w Inowrocławiu. Uzgodniono tam warunki zawarcia pokoju, różniące się już tym razem nieco od wyroku wyszehradzkiego. Zostały one spisane i potwierdzone wspólnymi pieczęciami kontrahentów, ale nadal nie doszło do wystawienia dokumentów. Co więcej, król Kazimierz wytoczył Zakonowi znany proces, tym razem papieski, toczący się w Warszawie, który skończył się wyrokiem, nakazującym Zakonowi uznanie praw własności Królestwa Polskiego do spornych ziem pomorskich, włącznie z Ziemią Chełmińską i Michałowską i ich zwrot królowi polskiemu. Jednakże apelacja Zakonu od

tego wyroku do Stolicy Apostolskiej skończyła się, jak wiadomo, jego unieważnieniem przez papieża.

Nie referując dalej znanych faktów, zgadzamy się ze Stanisławem Szczurem, że „papieskie stanowisko wobec konfliktu Polski z Zakonem i zmiany, jakie zaszły w polityce polskiej po zaangażowaniu się Kazimierza Wielkiego na Rusi Czerwonej należy uznać za decydujące czynniki dla przyszłego układu pokojowego z Krzyżakami” (*Traktat...*, s. 449). Do zawarcia takiego pokoju doszło w Kaliszu 8 lipca 1343 r. I znowu zgadzamy się z nim, że „w rokowaniach kaliskich za podstawę rozmów przyjęto pokojowe propozycje papieskie, co w gruncie rzeczy było jednak częściową ratyfikacją układów inowrocławskich. Nigdzie jednak ani słowem nie wspomniano o wyszehradzkim wyroku arbitrów, będącym punktem wyjścia ustaleń z roku 1337 (*Traktat...*, s. 451).

Mimo to, z pewnymi zastrzeżeniami, można się z nim zgodzić, że „zarówno rokowania wrocławskie z 1337 r., jak i układ pokojowy z roku 1343 odwoływały się do wyszehradzkiego wyroku arbitrów, który stał się podstawą trwałego układu pokojowego między Polską a Zakonem” (*Zjazd...*, s. 10), trudno więc zrozumieć zarzut wypowiedziany w dyskusji, iż „nie można mówić, że traktat kaliski był ratyfikacją układów wyszehradzkich”²².

Czymże, w gruncie rzeczy, różnią się powyższe jego wypowiedzi od mojego zdania zapisanego na s. 55: „Gdy w stosunkach z Zakonem zarysował się impas, król Kazimierz i jego duchowni doradcy, a wśród nich przede wszystkim arcybiskup gnieźnieński Jarosław Skotnicki, zdecydowali się

²² Ostatnio zagadnienie to szczegółowo zanalizował J.B. Bieniak, *Geneza procesu polsko-krzyżackiego z 1339 roku*, „Acta Universitatis Nicolai Copernici”, Historia XXIV, Toruń 1990, s. 23–49, a także J. Wyrozumski, *Miejsce procesu Polski z Zakonem Krzyżackim w 1339 r. w polityce Kazimierza Wielkiego*, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej”, 23 (1993), s. 37–45, który kończy swoją rozprawę słowami: „Pokój wieczysty z 1343 r. zawarty został w zasadzie na warunkach wyroku wyszehradzkiego z 1335 r.”

pod naciskiem papieża Klemensa na samodzielne zakończenie konfliktu z Zakonem na warunkach wyroku wyszehradzkiego z 1335 roku”? Wystarczy zajrzeć do źródła, aby się o tym przekonać. W moim tekście w ogóle nie ma słowa: ratyfikacja²³. Pozwala mi to jednak nadal utrzymywać, że król Kazimierz tylko „przyjął do wiadomości ten wyrok”, gdyż jak słusznie twierdził Henryk Paszkiewicz, król nie uznał żądania wystawienia listu renuncjacyjnego, zostawiając sobie otwarte drzwi do dalszych rokowań.

Różnice pomniejsze

Miejsce Śląska w historii dyplomacji polskiej. Cytuję: „Profesor Labuda ma pretensje do Kazimierza Wielkiego, że nie odzyskał Pomorza Zachodniego i Śląska. Aż by się chciało zapytać, co na to książęta piastowscy Śląska, czy oni tak bardzo chcieli, żeby ich przyłączyć do macierzy, i tak dalej i tak dalej”. I dalej w tym samym tonie: „Muszę powiedzieć [...], że tu roi się od błędów merytorycznych, które recenzja wydawnicza mogłaby poprawić”.

Najpierw chciałbym zapytać krytyka, aby mi wskazał zdanie, w którym zgłaszam do króla Kazimierza „pretensje” o nieodzyskanie Śląska i Pomorza? Łatwo się przekonać, że zgodnie z obowiązującym od dawna stanem badań (w tym również Stanisława Szczura, *Średniowiecze*, s. 375–376, 383–384), król Kazimierz najpierw pragnął zjednać sobie Luksemburgów w sporach z Krzyżakami, wyraził w roku 1339 zgodę na przejście książąt śląskich pod zwierzchnictwo lenne Królestwa Czeskiego, a następnie zrażony postawą Luksemburgów w sporach z Krzyżakami zrewidował swoją decyzję z roku 1339. Przerzuciwszy się do obozu Wittelsbachów, próbował zbrojnie w latach 1343–1345 utrzymać

²³ W ten sam sposób pojmuje zawarty układ J. Wyrozumski, *Miejsce procesu...*, *op.cit.*, s. 45: „Pokój wieczysty z 1343 roku zawarty zastał w zasadzie na warunkach wyroku wyszehradzkiego z 1335 roku”.

swoje poprzednie żądania, a gdy demonstracja siły nie odniosła rezultatu, wybrał jako realista, podobnie jak w konflikcie z Krzyżakami, drogę pokojową i w Namysłowie w 1348 r. zrzekł się Śląska na warunkach z roku 1339, celem wykorzystania koniunktury, jaka przed państwem polskim otworzyła się już w 1340 r. na Rusi (zob. „hdp”, s. 53–55).

W powyższej ocenie zabrakło znowu umieszczenia tego finału w poprzedzających faktach historycznych. W latach 1138–1146 protoplasta książąt śląskich, Władysław II, był pryncypsem książąt polskich z siedzibą w Krakowie, jego potomkowie: Mieszko Płatonogi, Henryk Brodaty i Henryk Pobożny, także panowali w Krakowie, Henryk IV aspirował do wznowienia godności króla przed Przemysłem wielkopolskim; Śląsk i jego książęta przed ich hołdami lennymi w latach 1326/27 stanowili razem z innymi współczesnymi książętami integralną część tworzącej się od roku 1320 instytucji Korony Królestwa Polskiego²⁴. Zarówno Władysław Łokietek, jak i Kazimierz Wielki dążyli do objęcia tą instytucją również Śląska. Nie widzę zatem żadnego powodu do wykluczenia książąt śląskich w latach 1320–1348 z historii dyplomacji polskiej. Co tu mają do rzeczy moje rzekome pretensje do Kazimierza Wielkiego, że „nie odzyskał Śląska”?

Wręcz przeciwnie, zgodnie z faktycznym przebiegiem wydarzeń piszę, z istoty skrótowo, pod jakim naciskiem zewnętrznych i wewnętrznych czynników politycznych został on zmuszony do rezygnacji ze Śląska. Świadkiem koronnym tych zabiegów króla, jak i „rozstawania się” (jak to trafnie określił Roman Grodecki) książąt śląskich z instytucją Królestwa Polskiego był Janko z Czarnkowa, którego ocenę ich zachowania przytoczyłem w całości. Nie ma tu żadnego znaczenia opinia historyków niemieckich, że Śląsk rzekomo

²⁴ Zob. J. Dąbrowski, *Korona Królestwa Polskiego w XIV wieku*, Wrocław–Kraków 1956; por. też A. Fijałkowski, *Koronacje królów węgierskich w średniowieczu – Zarys problematyki badawczej w kontekście polskim*, [w:] *Przemysł II, op.cit.* s. 213–224 (tutaj nowsza literatura).

po roku 1202 nie należał do Królestwa Polskiego²⁵. Istotne jest to, że innego zdania był Kazimierz Wielki, gdyż Śląsk miał w jego zabiegach dyplomatycznych tę samą rangę, co Pomorze.

Miejsce Pomorza w tejże historii. Cytuję: „Włączanie książąt szczecińskich, czy książąt śląskich w XIV wieku, w historię dyplomacji polskiej, no na miły Bóg, jest lekką przesadą”. Owszem, lekką przesadą jest, gdy krytyk wzywa aż „imienia Boskiego” dla wzmocnienia swojej argumentacji, zwłaszcza że jest ona mylna. Znowu muszę go prosić o wskazanie miejsca, w którym włączam książąt szczecińskich do historii dyplomacji polskiej? Łatwo sprawdzić, iż w stosownym miejscu piszę: „Kazimierz szukał również wzmocnienia pozycji państwa polskiego w stosunku do Zakonu na zachodnim krańcu państwa zakonnego, zacieśniając coraz bardziej swoje stosunki z książętami Pomorza Zachodniego. W XIV wieku podzielili się już na dwie linie dynastyczne: szczecińską, utrzymującą tradycyjnie bliższe stosunki z władcami i książętami Rzeszy Niemieckiej, i wołogojsko-słupską, zagrożoną bezpośrednio ekspansją państwa krzyżackiego, wskutek tego szukającą bliższego oparcia w rosnącym w siłę Królestwie Polskim” (s. 56, 63). I tutaj w dalszym ciągu znane w tym kontekście fakty (córka Elżbieta, żona księcia słupskiego Bogusława V, syn ich Każko, itd.). Zabrakło dobrej woli (wołę to tak nazwać), aby z tekstu tego wydobyć niewypowiedzianą myśl o wciągnięciu książąt szczecińskich w obręb polskiej dyplomacji, całkowicie natomiast przemilczeć wyraźnie w tym tekście sformułowane zdanie o wciągnięciu w jej obręb książąt wołogojsko-słupskich. Inna rzecz, że powodowany szczupłością miejsca, a także ich koniunkturalnością, bez praktycznych następstw, nie wprowadziłem do mojego tekstu faktów, świadczących o bezpośrednich kontaktach książąt szczecińskich, najpierw z królem Władysławem

²⁵ Wystarczy reprezentatywnie zacytować: G.v. Grawert-May, *Das staatsrechtliche Verhältnis Schlesiens zu Polen, Böhmen und dem Reich während des Mittelalters (Anfang des 10. Jahrhunderts bis 1526)*, Aalen 1971, s. 137.

Łokietkiem, następnie z Kazimierzem Wielkim. Z tym pierwszym księżą szczecińscy Otton I i Barnim III wraz z księciem wołgojskim Warcisławem zawarli w Nakle przyzmiemie (8 listopada 1325 r.), a w roku 1337 tenże książe Otton wraz z Barnimem III był obecny w Poznaniu podczas spotkania króla Kazimierza z królem czeskim Janem. Jeszcze w tym samym wieku XIV związki te po okresie szamotania się księząt słupskich między Polską i Zakonem znalazły swój finał w złożeniu przez Warcisława VII hołdu lennego królowi Władysławowi Jagielle w 1390 r. (co nie zostało zanotowane ani w HDP, t. I, ani w hdp przez przeoczenie; ob. Historia Pomorza, t. II. s. 210, 219 i 278). Czy te stosunki też należy wyłączyć z historii dyplomacji polskiej?

Z niepokojem obserwuję proces dokonywanej się w ostatnim czasie, nazwijmy to tak aforystycznie, „wyprzedaży” narodowej substancji historii Polski, zwłaszcza na przykładzie dziejów Śląska i Pomorza. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że w toku rewindykacji do dziejów Polski pewnych epizodów i wydarzeń w tej dziedzinie niektóre z nich poszły za daleko; ale teraz ich rewizja z kolei idzie w odwrotnym kierunku z podobną tendencją. Wpływ wektora czasu na te przemiany jest w obu wypadkach ten sam. Tymczasem proces rewizji dziejów, jak to już trafnie nazywała historiografia okresu zaborów, jest stałym postulatem nauki historii. Do zderzenia dochodzi głównie w dziedzinie poglądów historiograficznych; to nie może przynieść trwałych wyników dla obu biorących udział w dialogu historiograficznym stron. Rewizja taka musi zaczynać się na poziomie ustalania „faktów źródłowych”, które z kolei umożliwiają prawidłową, w miarę możliwości źródłowych, rekonstrukcję „faktów historycznych”, będących podstawą tworzenia „poglądów historiograficznych”, wyrażanych zarówno w poważnych, jak i niepoważnych syntezach, tudzież na szeroka skalę w przeglądowych i poglądowych artykułach i wypowiedziach publicystycznych, a także w medialnych

wystąpieniach i dyskusjach, gdy za argument wystarczy „ulotne słowo”.

Rzekome pomyłki

W tym kontekście mieści się też zarzut, że w mojej charakterystyce wzrostu potencjału ekonomicznego posłużyłem się zwrotem „mimo zaburzeń na pograniczu polsko-ruskim” (s. 57), co spotkało się z komentarzem: „te zaburzenia [...] to jest 20 lat krwawych wojen z Litwą, to się nazywa «zaburzenia»”. Krytyk przeoczył jednak, że wojny te na świeżo pozyskanym pograniczu polsko-ruskim omówiłem poprzednio na s. 56. Trzeba znowu przypomnieć: od historii dyplomacji polskiej nie można się domagać, gdy omawiając z konieczności skrótowo wydarzenia z tego zakresu, aby zastępowała podręcznik historii Polski.

Typowe też dla takiego komentowania faktów w tej części historii dyplomacji jest zdanie: „Na miły Bóg, dokument dla katedry bamberskiej nie jest dokumentem dyplomatycznym, itd.” Któż to wie lepiej ode mnie? Ale Komentator wołał nie zauważyć, że wymieniając „list księcia Władysława Hermana do kapituły bamberskiej ze schyłkowych lat jego panowania”, wymieniam też inne przecież istniejące listy, kończąc moją kwerendę słowami: „Te nieliczne szczątki korespondencji z przełomu XI i XII w. dowodzą istnienia stosunkowo znacznej wymiany listów, a zatem również istnienia kancelarii, tj. instytucji, która zajmowała się ich sporządzaniem”, przywołując przy tej okazji obecność Ottona z Bambergu na dworze księżny Judyty i kronikarza Anonima, tzw. Galla, na dworze księcia Bolesława Krzywoustego, który był dobrze obeznany z techniką pisania listów (s. 33).

I to są wszystkie „zarzuty”, może raczej „pseudozarzuty”, które w mniemaniu profesora Szczura całkowicie dyskwalifikują cały rozdział historii dyplomacji polskiej, nie tylko do schyłku XIII wieku, lecz także, i to w szczególności, do roku 1370. Ubolewam, że te jego wypowiedzi, okraszone emocjami

i wykrzyknikami, pozbawione, jak to wyżej wykazaliśmy, merytorycznego uzasadnienia, zostały ponadto wzmocnione mimochodem rzuconą uwagą, mogącą sugerować, jakoby między rokiem 1980 a 2000 pojawiły się w nauce, zwłaszcza po roku 1989, nowe fakty historyczne, wywracające jakoby do góry nogami tamte starsze ustalenia, zaciążyły wyraźnie na dalszym przebiegu dyskusji, a przede wszystkim sprawiły, że we wnioskach końcowych pojawiło się zdanie, iż nie tylko *Historia dyplomacji polskiej X–XX w.*, lecz także pięciotomowa HDP (Stanisław Szczur: „Ona budziła zażenowanie, te tomy budziły zażenowanie”) zostały określone jako przestarzałe, a jej skrócona wersja jako dzieło nie nadające się do wydania w wersji obcojęzycznej.

Na zakończenie tej przydługiej wymiany poglądów, w sumie pożytecznej, bo sprowadzającej nośność poczynionych zastrzeżeń do właściwego wymiaru, a tym samym umożliwiającej stonowanie i rozładowanie napiętej atmosfery, dwa charakterystyczne dla tej atmosfery wyznania. Na początku: „Szanuję autora”, a pod koniec: „Magia Gerarda Labudy, Mariana Biskupa spowodowała, że nikt nie odważył się dać do krytycznego przeczytania” (i od razu sprostowanie: dano do przeczytania).

**List od profesora Mariana Biskupa,
19 lutego 2004 r.**

W sprawie założeń *Historii dyplomacji polskiej* X–XX w. i warunków ich realizacji

Spośród wszystkich wypowiedzi dotyczących *Historii dyplomacji polskiej X–XX w.* za najcenniejszą uważam wypowiedź Andrzeja Magierskiego, silnie akcentującą niemal całkowity brak zainteresowania w historiografii polskiej dla wydanych wcześniej tomów I–V (1980–1999). Przejawiło się to w braku recenzji czy artykułów polemicznych, zwłaszcza

po ukazaniu się tomu I i II, brak było dyskusji wręcz niezbędnych przy tego rodzaju przedsięwzięciach wydawniczych. Miało to swoje następstwa dla kontynuacji dzieła i dla zaplanowania jego jednotomowego, skrótego tomu. Wyjaśnienie tego zjawiska – niebywałego w naszej historiografii – nie nastąpiło, gdyż trudno za nie uznać dwuznaczne w swojej treści uwagi Stanisława Szczura, które dowodzą raczej braku odwagi osobistej i niechęci do „narażania się” utytułowanym autorom. A przecież w ciągu kilkunastu lat była okazja i w Krakowie, i Toruniu do osobistych choćby rozmów dotyczących koncepcji *Historii dyplomacji polskiej* i sposobu jej realizacji, co się zresztą wręcz prosiło do podjęcia dyskusji na łamach naszych periodyków historycznych.

Postawa ta odegrała szczególnie ujemną rolę w przypadku tomu pierwszego *Historii dyplomacji polskiej*, w którym na wstępie zostały przedstawione przez Gerarda Labudę główne założenia dla całej tej publikacji dyplomatycznej. Była to próba określenia roli dyplomacji jako oręża polityki państwa, przy wysunięciu zespołu metod charakterystycznych dla jej działalności, przy udziale zespołu ludzi uprawiających tę działalność. Była to więc instytucjonalna koncepcja historii dyplomacji, przy akcentowaniu konieczności ukazania polityki zagranicznej, a także określonego etapu stosunków międzynarodowych, traktowanych jako tło dziejowe. W rezultacie po dyskusji warszawskiej z roku 1972, odbytej z udziałem historyków, zwłaszcza przyszłych autorów projektowanej syntezy, skoncentrowano się głównie na założeniu, iż wykład powinien ukazać sytuację międzynarodową, działalność samej dyplomacji polskiej, a następnie organizację i technikę, czyli metody jej działania. Założenia te były przydatne dla przyszłych autorów, otwarcie wypowiadających się o trudnościach w badaniu problemu historii dyplomacji na przestrzeni dziesięciu wieków, zwłaszcza zaś dla okresu średniowiecza. Wprowadzały one pewien porządek w podejmowanie próby analitycznego ujęcia tego tematu, wobec braku wcześniejszych wzorców.

Założenia te były w różny sposób realizowane, przy wyraźnym odejściu od nich dla wieku XIX, tj. dla okresu rozbiorów.

Dzisiaj uderza w tych założeniach zbytnia preponderancja problemów politycznych, zwłaszcza przy podbudowie zasadniczego problemu, tj. niedocenywanie roli czynników wewnętrznych. Dlatego na pewno słuszne jest spostrzeżenie Henryka Samsonowicza, który zauważył brak uwarunkowań gospodarczych i kulturowych. Żałować tylko należy, iż nie zostało to w założeniach badawczych wcześniej dostrzeżone, chociaż przy sprawie kulturalnego awansu Polski ostatnich Piastów oraz pierwszych Jagiellonów problemy kultury były dostrzegane przez akcentowanie roli profesorów Akademii Krakowskiej w czasach soborów w Konstancji i Bazylei, a także w okresie walki z Zakonem Krzyżackim w wojnie trzynastoletniej.

Brak ocen tych ogólnych założeń badawczych dla historii dyplomacji polskiej poprzez recenzje czy polemiki spowodował, że były one realizowane nie tylko w pięciotomowej *Historii dyplomacji polskiej*. Były one także realizowane w jednotomowej *Historii*, ze wszystkimi pozytywami i słabościami. Nie jest jednak w pełni słuszny zarzut, że ten jeden tom jest tylko streszczeniem wersji pięciotomowej, że nie wnosi nic nowego i nie opiera się na nowszej literaturze (mam tu na myśli okres piastowski i jagielloński). Przede wszystkim zmienić się musiał częściowo skład autorski, na skutek przedwczesnego zgonu aż czterech autorów (Zdzisław Kaczmarczyk, Karol Górski, Zenon Hubert Nowak oraz Roman Żelewski) opracowania ich tekstów podjęli się Gerard Labuda i piszący te słowa. Siłą rzeczy konieczne stało się więc skrócenie całego tekstu, który mógł zostać uzupełniony o literaturę narosłą po roku 1980. Jednak wyjaśnić trzeba, iż wskutek terminów redakcyjnych konieczne stało się zamknięcie maszynopisów już w roku 1997. Dlatego niektóre pozycje ogłoszone u schyłku XX i w początkach XXI stulecia nie mogły już zostać uwzględnione, czego zdają się nie dostrzegać niektórzy krytycy, imputujący wykorzystanie literatury najdalej do lat sześćdziesiątych; dotyczy to także

tekstu poświęconego ostatnim Jagiellonom. Tę nowszą literaturę można znaleźć w miejscami niestety niepełnej bibliografii selektywnej. Natomiast zgodzić się wypada z krytyką J. Tomaszewskiego, że w bibliografii tej nie należało pomijać edycji źródeł związanych z historią dyplomacji, chociaż może zasługiwały one na osobne omówienie, łącznie z losami archiwaliów w okresie II wojny światowej.

Trudno mi akceptować zastrzeżenie H. Samsonowicza, iż sukcesy polityki jagiellońskiej w basenie naddunajskim były dziełem samego króla Kazimierza Jagiellończyka, a nie jego dyplomatów. Nie ukrywałem inicjatywy króla, ale jednak ktoś musiał przygotować i wygłaszać skuteczne w działaniu przemówienia, na przykład na czeskim sejmie elekcyjnym w Kutnej Horze w roku 1471, akcentujące także jedność pochodzenia i języka Czechów i Polaków (mówcą tym był Małopolanin Dobiesław Kurozwęcki).

Przy surowej ocenie nadmiaru historii politycznej przeczytano niemal zupełnie zanalizowane po raz pierwszy w naszej historiografii problemy organizacji w czasach Jagiellonów (dostrzegła to tylko Joanna Chodor), wobec ustalenia dla okresu prawie 200 lat liczby poselstw i ich charakteru, także ich personalnego składu, kwestii językowych (tłumaczy) oraz kosztów finansowych. Dlatego podzielam pogląd Ryszarda Stemplowskiego o pozytywności faktu ukazania się tej pierwszej syntezy historii dyplomacji polskiej, przy dostrzeżeniu w dyskusji – czy niemal tylko – potknięć koncepcyjnych i rzeczowych, z faktyczną degradacją sporego wysiłku badawczego jej autorów. Jednak synteza ta będzie z konieczności punktem wyjścia nowego dzieła kolejnej średniej generacji. Bo opracowanie historii dyplomacji polskiej okazuje się jednak znacznie trudniejsze – na skutek złożoności tematu i zmieniających się metod działania w poszczególnych okresach. I której opracowanie winno odbywać się w atmosferze pełnej naukowej konsultacji i w dyskusji, jeszcze przed oddaniem tekstów do druku.